

# Bracia



ELIZA ORZESZKOWA

## Bracia

*Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię*

*(Ewang. u św. Mat. 5, 10).*

### I

W domu wiejskim, starym i dość obszernym, w salce jadalnej z umeblowaniem skromnym, kilka osób otaczało stół, nakryty do obiadu porządnie, ale skromnie. Gospodyni domu, Sabina Horniczowa, siedziała pomiędzy córką dorastającą a siostrą, Rozalią Irską, naprzeciw męża i małego syna. Rozalia, panna prawie czterdziestoletnia, ale jeszcze piękna, wyglądała jak chmura. Są różne rodzaje chmur, z których każda sprawia wrażenie inne. Ta zapowiadała nie burzę groźną i przemijającą prędko, ale deszczyk długi, nudny, którego kropla każda sprawia na skórze wrażenie śpilki. Jednak osoba ta była niewątpliwie piękną i nie była ani głupią, ani gminną. Jej kibić kształtna, ruchy, ubranie ciemne i skromne posiadały cechę dobrego smaku, a czoło — zarys myślący i szlachetny; tylko że w tej chwili czoło to przerzynała zmarszczka poprzeczna, brwi czarne były ściągnięte, a usta zarysowały linię krzywą. Nie był to wyraz gniewu ani smutku, ale, wprost, złego humoru. Rozalia była w złym humorze, co czyniło ją naprzemian grobem milczącym, boginią wyniosłą lub osą, tnącą żądełkiem na prawo i lewo. Bijący od niej kwas był tak mocny, że zakwaszał powietrze. Z żółtości cery, która pod kruczemi włosami powlekała piękne jej rysy, z chudości rąk podłużnych i delikatnych, można było odgadnąć zdrowie podkopane chorobą chroniczną, nie grożącą życiu, lecz długą i nudną.

Sabina Horniczowa stanowiła zupełne przeciwieństwo siostry. Mała i szczupła, miała pozór kurki łagodnej, lękliwej i stroskanej. Twarz jej, biała i różowa, była jedną z tych, które dają dziewczętom młodziutkim podobieństwo do róż polnych, ale gdy zwiędną, przypominają obrazki spłowiałe i pospolite. Tylko błękitne oczy zachowały jeszcze niejaką piękność, polegającą na wyrazie słodczy wielkiej, z którą łączyło się teraz pomieszanie i złęknięcie, ilekroć spoglądała na siostrę lub męża. Widać było, że zachmurzenie obojga sprawiło jej przykrość dotkliwą i że pragnęła mu zapobiedz, ale nie mogła. Bo Zenon Hornicz był także zachmurzonym, chociaż zupełnie inaczej, niż Rozalia. Ona była kwaśną i pogardliwą, on — smutnym i obojętnym. Smutek i zubożenie malowały się na twarzy jego, młodej i zarazem starej, bo miał lat czterdzieści cztery, a dużo zmarszczek na czole, zarówno jak dokoła ust i oczu. W tych zmarszczkach nie było zgryźliwości ani złości, tylko przyzwyczajenie do zamyślań się częstych i długich. Musiał zazwyczaj mówić mało, bo ci, którzy wiele mówią, wyglądają wcale inaczej od tych, którzy wiele milczą. Duszę milczącą można poznać z oczu człowieka, który ją ma w sobie. Ze źrenic Hornicza, ciemnych i zapadających często w nieruchomość, patrzyła dusza myśląca i cierpiąca, która nigdy nie wypowiadała myśli swoich, ani cierpień. Może jednak uciekanie przed wzrokiem bliźnich nie było jej wrodzonym, bo rysy, postawa, ruchy człowieka tego znamionowały raczej naturę prostą, otwartą, skłoną do zaufania. Prostem także było ubranie jego z szarego sukna wiejskiego, w którym wyglądał silnie i niegminnie, owszem, wbrew grubości odzieży, wytworknie. Ruchy też miał młode jeszcze, ale plecy trochę przygarbione. Musiał być niegdyś bardzo przystojny i trwało to jeszcze w stopniu pewnym. Tylko postarzał wcześniej. W pierwszej połowie piętego krzyżyka miał już twarz pomarszczoną, plecy przygarbione i wiele siwizny, zmieszanej z włosami ciemnymi na głowie i w brodzie, krótko przystrzyżonej. Z młodości pozostała mu regularność rysów ściągłych, oczy piękne i zdrowie cery, opalonej na słońcu i wiatrach.

Dziewczynka czternastoletnia, stworzonko dość ładne, tak jak matka, białe i różowe, oraz chłopak dziewięcioletni z bystreimi oczyma, znudzeni milczeniem, panującym przy stole, trochę kręcili się na krzesłach i trochę czasem do siebie szeptali. Rozalia ostro ozwała się do malca:

— Niech Kazio spokojnie siedzi przy stole, bo wezmę za rękę i wyprowadzę z jadalnego pokoju.

Kazio jednak nie robił nic złego, ani nawet nieprzyzwoitego. O czemś tylko szeptał z zapalem do siostry, która słuchała go z uśmiechem. Rozalia, przeniósłszy wzrok z brata na siostrę, zauważyła znowu:

— Są twarze, które zawsze wprawiają mię w zdumienie swoim wiecznym uśmiechem. Jak to można tak wiecznie się uśmiechać?

To klucie dzieci zabolalo matkę. Zcicha i z zalęknieniem przemówiła:

— Moja Rózieczko, jeżeli to mówisz do Anielki, jest to tak właściwie jej wiekowi...

Rozalia ze zdumionym spojrzeniem na siostrę i wzruszeniem ramion przerwała:

— Ja do Anielki mówiłam? Czyż nie można wypowiedzieć zdania bez zastosowania go do kogokolwiek? Są zresztą różne gusta. O ile twarze wiecznie uśmiechnione wprawiają mię w podziw, o tyle znowu sposób jedzenia prędko i łapczywo wstręt we mnie obudza: jest w tem coś zwierzęcego.

To stosowało się do Hornicza, który po kilkogodzinnem przebywaniu na polu i w stole z apetytem jadł w tej chwili jakieś bardzo niewytworne zrazy. Na różowej i zwiędłej twarzy Sabiny odmalowała się dolegliwość, silniejsza niż przedtem. Z większą łatwością przenosiła złośliwość siostry względem dzieci, niż względem męża, dzieci bowiem, zawdzięczając wiele Rozalii, mogły też znieść od niej jakąś przykrość: uczyła je pracowicie i umiejętnie; była też dla nich w chwilach dobrych bardzo dobrą i tkliwą. Bywała nieraz dobrą i dla szwagra, ale gdy stawała się złą, sprawiło to Sabinie Horniczowej udręczenie, jeśli nie piekielne, to przynajmniej czyścowe. Otworzyła usta, aby coś powiedzieć, ale, spojrzawszy na siostrę, zlekła się i nic nie powiedziała, a po chwili dopiero rozpoczęła próby rozbijania atmosfery ciężkiej za pomocą rozmowy — bylejakiej.

— Dziwna rzecz, jak dziś sucho w ogrodzie! Po wczorajszym deszczu niema już ani śladu.

Głos jej drżał trochę; z wyrazem przykrości niewymownej patrzyła na ręce siostry, która z powolnością i delikatnością niesłychaną krajała, rozdzierała, wprost rozgrzebywała po talerzu kawałek mięsa, kiedy niekiedy niosąc do ust malutką jego okrucie. To jedzenie fenomenalnie powolne było lekcją poglądową, udzielaną temu, kto jadł prędko, to jest Horniczowi, który jednak z niej nie korzystał, bo patrzył tylko w swój talerz.

— Czy mameczka była w alei brzozonej? tam to jeszcze zupełnie mokro! — miłym głosem zaszczebiotała Anielka.

— A pod oficyną to tyle jeszcze wody stoi w rowku, żeśmy z Michasiem puszczała na nią łódki korkowe! — zawołał Kazio, mieszając cienki, donośny głosik z dźwięcznym głosem siostry.

Rozalia, która przed chwilą ruchem rezygnacji położyła sztucę na talerzu, teraz obie ręce podniosła do uszu. Nic nie powiedziała, ale przez dobrą minutę z całej siły zamykała dłońmi otwory uszu. Dzieci umilkły. Błękitne oczy Sabiny zaczęły stawać się prawie nieprzytomnymi. Hornicz przemówił do żony.

— Proszę cię, Sabinko, podaj mi sól.

Były to pierwsze słowa, które z ust jego wyszły od rozpoczęcia obiadu. Posypując solą kartofle, towarzyszące zrazom, myślał:

— Grono rodzinne zasiadło do stołu i w pogodzie ducha dzieli się chlebem, zapracowanym wspólnie! Że zapracowanym wspólnie, to prawda, ale pogody ducha niema wcale. Czego ona dziś tak skwaśniała? Albo to kiedykolwiek ma jaką przyczynę? Owszem, jest przyczyna, tylko niewidzialna, bo siedzi w śledzienie albo w kiszkach. Człowiek ma charakter swoich kiszek. Wczoraj były one dobre, i on był dobry; dziś są złe, i on jest zły. Takim sposobem każdy znajduje się w zależności nietylko od swojego żołądka, ale i od wszystkich żołądków, które go otaczają. Ażeby dowiedzieć się o losie dnia, który go czeka, powinien mówić do otaczających zamiast: dzień dobry! — jak się macie, najjaśniejsze żołądki?

Spojrzał na chłopaka niezupełnie dorosłego, który posługiwał do stołu, a którego twarz wyglądała, jak misterny tatuaż z sadzy i kurzu.

— Mój Filipku, — rzekł — wyglądasz znowu jak kominiarz. Od tak dawna uczę cię czystości, i jeszcze się jej nie nauczyłeś.

Powiedział to dość łagodnie, a potem myślał:

— Od sześciu lat życia chowa się we dworze; nauczył się czytać i pisać: a codziennego umycia rąk i twarzy żadna siła ludzka nauczyć go nie może! Rzecz drobna, lecz sprawa obrzydzenia. Życie składa się z obrzydzeń wielkich i drobnych.

Rozalia milczała jak grób, półmisek z naleśnikami odsunęła ze wstrętem w tej właśnie chwili, gdy Hornicz napominał lokajczyka za brudną twarz i ręce. Sabina zaś, trwając ciągle w usiłowaniu rozpogadzenia atmosfery, zwróciła się do męża:

— Ciekawa rzecz, co tam teraz porabia nasz Wicus?

Był to ich syn szesnastoletni, który przed tygodniem odjechał był z wakacji do szkół.

— Jeszcze pewno w gimnazjum siedzi, bo jest dopiero druga godzina, a ich wypuszczają o trzeciej — prędko zagadała Anielka.

Wspomnienie o synu pogłębiło zmarszczki na czole Hornicza. Z powodu tego dziecka doświadczał troski dość ciężkiej. Zato w twarzy Rozalii to wspomnienie odbiło się, jak malutki promyczek słońca w gęstej chmurze. Zwolna i na nikogo nie patrząc, przemówiła:

— Pisałam dziś do Wicusia, bo zdaje się, że nikt jeszcze dotąd nie pisał do niego.

— Jeszcze niema dwóch tygodni, jak wyjechał — tłumaczyła się Sabina.

Rozalia, jakby nie słyszała wcale głosu siostry, rzekła jeszcze:

— Pisałam, aby wziął od Rogowskiego część mego procentu i sprawił sobie nowy mundurek.

Hornicz po raz pierwszy z niejaką żywością przemówił:

— Niepotrzebnie to zrobiłaś. Ten, który ma, wystarczyłby mu jeszcze na rok cały. Wicus okazuje zanadto skłonności do elegancyi i popisywania się wszelkiego rodzaju...

Rozalia, podnosząc głowę, odpowiedziała sucho:

— Trudno, ażeby wszyscy mieli skłonność do safandulstwa i siedzenia za piecem.

Sabina siedziała jak na węglach rozżarzonych.

— Rózieczko, — przerwała głosem bardzo łagodnym — przecież sama nieraz mówiłaś, że nie jest dobrze, jeżeli chłopiec wykieruje się na panicza...

Oczy Rozalii z pod czarnych brwi ściągniętych tkwiły w siermiężnym surducie szwagra.

— Nie trzeba wpadać w ostateczności — zaczęła tonem oschłym i nauczycielskim — zbyteczna wybredność jest niedobłą, ale i abnegacya<sup>1</sup> nie dodaje nikomu uroku. Z dwojga złego wolałabym już pierwsze!

Ale obiad był skończony; Sabina wstała z krzesła. Rozalia, wstawszy także, podała końce palców siostrze, a szwagra wcale nie spostrzegając, oddaliła się szybko. Słychać było, jak w głębi domu z trzaskiem zamykała za sobą drzwi swego pokoju. W dniach dobrych szła po obiedzie do bawialni, grała na fortepianie, gawędziła, czasem nawet bawiła się z dziećmi, uczyła je tańczyć, grała z siostrzenicą na cztery ręce. Ale dzisiejszy dzień był niedobry: więc, nie przemówiwszy do nikogo słowa, wprost od stołu pokazała wszystkim plecy i zamknęła się w swoim pokoju. Dzieci pobiegły do ogrodu. Horniczowa zbliżyła się do męża, który z zamyśleniem patrzył przez okno na ogród, pełen barw, już jesiennych, i białych blasków słońca wrześnieowego. Wsunęła mu rękę pod ramię i, wznosząc ku jego twarzy oczy bardziej jeszcze niż zazwyczaj łagodne i stroskane, przemówiła lękliwie:

— Mój Zenku, jak mnie to okropnie boli, że Rózia była dziś znowu taką...

Zenek, nie odrywając wzroku od grupy drzew, powleczonej przez jesień barwami rdzawymi i żółtymi, myślał:

— Gdybym był tem, czem być miałem, czem już trochę byłem, malowałbym tę grupę drzew.

A żonie odpowiedział:

— Nie dbaj o to, moja droga, tak, jak ja nie dbam...

Jednocześnie z temi słowy miał w głowie inne.

— Kłamie, bo te drobne śpilki życia drażnią mnie niesłychanie...

---

<sup>1</sup>abnegacya — zaparcie się siebie, wyrzeczenie się wszystkiego. [przypis autorski]

Ona zaś mówiła dalej głosem coraz cieńszym:

— Ty to przeze mnie znosisz, bo to przecież moja siostra, ale cóż ja zrobię?

— Naturalnie! Cóż możesz zrobić? niema tu nic do zrobienia!

Rozmowa taka powtarzała się przynajmniej dwadzieścia razy na rok, to jest za każdym razem, gdy Rozalia zaczynała mącić zgodę domową. Hornicz myślał:

— Tamta od dzieciństwa tak jej imponowała swoim umysłem wyższym i charakterem fantastycznym, że odebrała jej zdolność do oporu najłżejszego. Osa i kurczątko!

Kurczątko, bardzo stroskane, niemal już piskliwie prawilo mu u boku:

— Taka jest dziwna... czasem idzie spać w najlepszym humorze, serdeczna, grzeczna, miła, a nazajutrz wstaje taka, jak dziś... Za każdym razem łamię sobie głowę nad przyczyną tej zmiany i nie mogę wynaleźć żadnej.

On, patrząc teraz na grupę drzew inną i zabarwioną inaczej, rzekł z uśmiechem:

— Moja droga, zmienność wszystkiego jest prawem powszechnym. Nic nie trwa. Wszystko przelewa się w formy coraz inne, przepływa, jak obłoki. Uczucia człowieka podlegają temu samemu prawu: kielkują, rosną, rozkwitają, więdną, i zostaje po nich lodyga pusta, czasem z owocem obrosłym kolcami.

Wszystko to powiedziawszy, pomyślał:

— No, i poco ja to wszystko nagadałem?

Ona słuchała cierpliwie, ale parę razy odbiegła myślą od słów męża, bo najprzód zobaczyła dziewczkę, idącą z koszykiem do ogrodu warzywnego, i pomyślała: »byleby rwąc sałatę, nie zdeptała pietruszki«, a potem, widząc indyczkę, prowadzącą indyczęta do gęstego klombu, zauważyła w duchu: »gdzieś blisko dostrzegła jastrzębia!« Gdy Hornicz przestał mówić, przytuliła się mocniej do jego boku i zaczęła:

— To prawda, Zeniu, ale to wszystko, co powiedziałeś, nie ma żadnego związku z Rózią...

On uśmiechnął się; ona mówiła dalej:

— Ty wiesz, że ona jest w gruncie rzeczy nadzwyczaj przywiązana do nas i do dzieci, że w wielu wypadkach dała nam dowody poświęcenia, i że wiele zawdzięczamy jej pracy około wychowania dzieci, szczególnie Anielki...

— Ależ tak — pośpiesznie zgodził się Hornicz — wiem o tem wszystkim, bardzo szanuję piękne przymioty twojej siostry, a drobne jej fantazje nie sprawiają mi przykrości...

Jednocześnie myślał:

— Kłamię! Sprawiają, nawet taką, która zawstydza i poniża, jak wszystkie drobnostki i małostki...

Sabina, znacznie uspokojona, mówiła z uczuciem zachwyty:

— Bo ty, Zeniu, jesteś najlepszy, najpobłażliwszy, najszlachetniejszy z ludzi!

Zrobiło się mu żal tej kobiety, tulącej się do jego ramienia. Pochylił się i pocałował ją naprzód w czoło, a potem w oko błękitne, którego powieka, już żółkła i trochę pomarszczona, zamknęła się pod jego ustami.

Na jej twarzy rozlał się wyraz ukojenia.

Więc nie gniewał się! Kaprysy Rózi nie sprawiały mu przykrości! Ach! jak to dobrze! Ale uspokojona pod tym względem, zatroskała się mocniej o pietruszkę, którą dziewczka zdeptać mogła, rwąc sałatę. On powrócił wzrokiem do pysznego wycieniowania drzew ogrodowych i miał już na ustach wyrazy: »Patrz, jak ta srebrna wierzba plastycznie odsłakuje od tła zaczerwienionych kasztanów!« ale nie powiedział nic. Poco? Przez pierwsze lata pożycia dokonał mnóstwa prób w tym rodzaju, i żadna się nie udała. Ona rzeczy takich, poprostu, nie widzi. Zaczęła go też teraz wypytywać: coby najchętniej jadł na wieczere?

Jemu to było zupełnie wszystko jedno; ale gdy nalegała, powiedział pierwszą lepszą potrawę która mu na myśl przyszła, a ona, dzwoniąc kluczami, wybiegła z pokoju. Biegła krokiem żwawym i drobnym, mającym w sobie coś ptasiego. Hornicz patrzył za biegnącą żoną i myślał, że jest to kobieta niezmiernie dobra, i że dobroć jej nie zasługuje nawet na nazwę owczej. Przeciwnie, Sabina, będąc bardzo łagodną, jest zarazem czynną, pracowitą, troskliwą niezmiernie o potrzeby rodzinne. On też ma dla niej szacunek rzetelny i wiele przywiązania. Więc cóż? Więc dlaczegóż, gdy przed chwilą tuliła się do niego trwożnie i tkliwie, nie przycisnął jej do piersi z całej siły ramion, ale tylko pocałował

w oko, prawie z takim uczuciem, jak gdyby ono było arabeską<sup>2</sup>, wymalowaną na ścianie? Dlaczego także nie powiedział jej wszystkiego, co myślał przez ten czas, gdy ona tu stała? Cóż? Po pierwsze, dlatego, że zaśmiałby się z samego siebie, gdyby spróbował raz jeszcze powierzać jej swoje myśli lub wrażenia; powtóre, z powodu tej — lodygi nagiej, na której zostaje czasem owoc, obrosły kolcami. Na tej lodydze, którą oni trzymali w rękach, nie było kolców, dzięki jej dobroci, a jego uczciwości; ale nie było także kwiatu: trwał krótko i opadł oddawna. Oddawna już jej oko i arabeska na ścianie były dla ust jego przedmiotami jednak pociągającymi. Całe szczęście, że ona nie czuła w tym kierunku żadnych żalów i pożądań. Ma temperament limfatyczny, a nie ma żadnej skłonności do marzycielstwa. Jest wprawdzie dość młoda jeszcze, od niego młodsza o lat osiem; ale dla kobiet takich, jak ona, lodyga okwitła wystarcza do szczęścia; zwłaszcza gdy nie ma kolców. Z nim co innego: jemu nie wystarcza — ale to jego rzecz. Nie usłyszy tego żadne ucho ludzkie, i nie dowie się o tem żadna dusza ludzka; tembardziej nie wyrazi się to w czynie żadnym... bo co innego szczęście, a co innego obowiązek. Pierwsze jest mrzonką, wszczepioną w naturę ludzką, nie wiedzieć poco, gdyż urzeczywistnić jej niepodobna; drugi istnieje na pewno, ponieważ człowiek czuje go w samym sobie. Wreszcie kwestya to skomplikowana: obowiązek miesza się w nim z pewnym gatunkiem tkliwości. Kobiety, z którą żyje, nie może upajać wonią kwiatu już nieistniejącego; ale też nigdy nie wleje do gardła jej trucizny. To rzecz pewna i wypróbowana. A uczucia i rojenia może gorzkie, może palące, których z tego powodu doświadcza, są jego tajemnicą, zarówno jak wszystko, co w nim jest. Są też wprawdzie źródłem kłamstwa i udręczenia. Bo zatajanie przed osobą, z którą się żyje, znacznej części tego, co się myśli o niej i co się dla niej czuje, to kłamstwo milczące i udręczenie duże, na które jednak niema rady żadnej.

Tak myśląc, szedł przez dziedziniec ku stodole otwartej i napełnionej monotonnym turkotem młockarni. Mijając sztachety ogrodu, zobaczył dzieci, bawiące się na trawniku. Anielka, Kazio i mały syn ogrodnika rzucali piłkę, chwyтали ją w powietrzu, albo ścigali po trawie. W słońcu jesiennem wśród drzew, bogato zabarwionych przez jesień, tworzyło to obrazek świeży i wdzięczny. Stanął i patrzył. Przyszło mu do głowy porównanie, jakim ten ogród był przed osiemnastu laty, a jakim jest teraz. Wówczas, gdy, powróciwszy z Monachium, wyrzekł się na zawsze kariery artystycznej i wziął w posiadanie ten kawał ziemi, rosły tu prawie same chwasty, i sterczały drzewa, umierające z opuszczenia. Te gęstwiny malownicze, trawniki nieduże, lecz świeże, sad obfity w owoce — to jego praca, dokonana z wydatkiem pieniężnym nieznacznym, lecz z trudem osobistym wielkim. Zamiast na płótnie, wymalował obraz na kawałku ziemi. Była to drobnostka, ale jej przypomnienie przerzedziło nieco chmurę, która mu przygniatała mózg prawie bezprzestannie.

Nagle otworzyło się jedno z okien, wychodzących na ogród, i ostry głos kobiecy zawołał:

— Anielko! chodź na lekcję!

Chmura na mózgu Hornicza znowu zgęstniała. Był bardzo wdzięczny Rozalii za uczenie dzieci, bo to oszczędzało trosk i wydatków dużych; ale ta przysługa ważna sprawiała mu przykreść dotkliwą, ilekroć zaprawiała ją kwas, sprzeczką i posępnością. Wdzięczność byłaby dla niego uczuciem rozkosznym, gdyby dobrodziejstwo dokonywanem było w sposób dobry. Ale można czynić rzecz dobrą w sposób zły, i Rozalia posiadała tę sztukę w stopniu wysokim. Bardzo często uczyła dzieci z miną męczennicy, poświęcającej się dla siostry, nieskończenie od niej niższej, i dla szwagra nielubionego. Zdarzało się wprawdzie, że przysługa oddawana przybierała formę przyjemną, lecz pamięć o chwilach złych zatrzymywała dobre. Sprawiało to udręczenie drobne, ale dokuczliwe. Życie jest pełnem udręczeń drobnych, z którymi niekiedy mieszają się wielkie, jak kamienie w taczce, napełnionej żwirem.

W stodole młócono pośpiesznie zboże, które miało być wysłane do miasta za parę tygodni. Było już prawie sprzedane; jednak niektóre punkty umowy sprzedażnej nie zostały jeszcze wysświetlonymi, co przeszkodziło stanowczemu zawarciu umowy. Horniczowi ta zwłoka sprawiała kłopot i niepokój.

Wiele zależało od tego, jak i kiedy sprzeda to zboże, bo musiał wkrótce dokonać pewnych wypłat i zaspokoić pewne potrzeby domowe.

<sup>2</sup>arabeska — linia ozdobna, ozdoba. [przypis autorski]



Dochody miał niewielkie i trochę długów, niegroźnych, ale z którymi wypadało obchodzić się ostrożnie, aby ich nie powiększyć.

Chodząc tedy po stodole i rozmawiając z gumiennym o gatunku i wadze zboża wymłóconego, myślał o nieustalonych jeszcze punktach kontraktu. W czym można ustąpić kupcowi, a w czym nie można? Co powie ostatecznie za dni kilka, gdy kupiec przyjedzie po decyzję?

Myśli te przerwał gumienny, chłop stary, barczysty, z oczyma mądrymi, który uśmiechając się trochę tajemniczo, a trochę złośliwie, rzekł:

— Czy pan wie, że patrząc tylko, jak Pawełek nas porzuci?

Hornicz stanął jak wryty. Z tym Pawelkiem była rzecz taka: Przed osiemnastu laty, objąwszy w posiadanie Zapolankę, Hornicz osądził, że wieś była za małą, a on za młodym, aby potrzebować w pracy nad jej uprawą wyręczyli i zastępcy.

Skądinąd miał w sobie podówczas tyle żalu nad tem, co porzucił i czego się wyrzekał, że praca wydała mu się prawie ratunkiem. Dlatego zresztą opuścił karierę rozpoczętą i ukochaną, aby tego kawałka ziemi nie opuścić. Ze względów wszelkich uczuwał konieczność pracy osobistej. Nie wziął więc i potem nigdy nie brał do pomocy żadnego rządcy, czy ekonomy. Pomagali mu zawsze w gospodarstwie dwaj tylko ludzie: stary gumienny i młody chłopak, będący potrosze oficjalistą, a potrosze praktykantem. Dwóch takich chłopaków miał w Zapolance po lat kilka i wykształcił na gospodarzy dobrych. Pożenił się potem i osiedlił na małych dzierżawach. Trzecim z rządu był Pawełek, którego najwięcej lubił, może dlatego, że mu uczynił najwięcej dobrego. Wziął go dzieckiem z zagrody szlacheckiej, bardzo ubogiej, czyli wyrwał z nędzy wszechstronnej. Chłopak w domu jego wyrósł na młodzieńca ładnego i zdrowego, otrzymał edukację prawie szkolną, stał się ulubieńcem rodziny całej. Nawet Rozalia okazywała mu zmienność usposobień rzadziej niż innym; był on jej uczniem w części znacznej, przez długie lat kilka. Zasiadał do stołu z rodziną Hornicza, a dziś nie było go przy obiedzie tylko dlatego, że z rana poprosił był o pozwolenie wyjechania na kilka godzin za swoimi interesami. Hornicz myślał, że pewno się gdzieś kocha, wkrótce zechce się żenić i, tak jak było z tamtymi, osiąść na gospodarstwie własnym.

Trzeba mu będzie w tem dopomódz tak, jak dopomógł tamtym. Przez jakiś kwadrans potem rozmyślał nad tem, jaką formę i wagę otrzymania mogła ta pomoc, której udzieli Pawelkowi do osiedlenia się na zagrodzie ojcowskiej, albo na jakiej dzierżawie niedużej? To też słowa gumiennego obudziły w nim zaciekawienie żywe. Stanął jak wryty i z uśmiechem zapytał:

— Cóż? żeni się pewno? Czy zwierzył się tobie? czemuż mnie o tem nie mówi?

Stary zaśmiał się zupełnie już złośliwie.

— Gdzie tam żeni się! On chce wyjechać do tych majątków, którymi pan Górkiewicz będzie rządził... Już podobno umówili się o pensję i o wszystko. Pan Górkiewicz dwa miesiące już namawia Pawelka, i on dziś do niego pojechał...

Horniczowi krew do głowy uderzyła...

— Ależ to nieprawda! — zawołał; — Górkiewicz nigdzie nie wyjeżdża! mówił mi sam tydzień temu, że są to tylko plotki...

Gumiennemu aż łopatki latały od śmiechu.

— Łgał, panoczku, dalibóg łgał, dlatego pewno, że panoczek byłby za to na niego niekontent: wyjeżdża, i Pawelka namawia, aby z nim wyjechał...

Czoło Hornicza tak okryło się zmarszczkami, że nie było na niem najmniejszego miejsca gładkiego. Górkiewicz był jedynym z sąsiadów, z którym żył w stosunkach przyjacielskich. Pawelka poczytywał za wychowawcą i prawie za członka rodziny. Pierwszy kłamał przed nim; drugi taił się z zamiarami już od dwóch miesięcy. Czy podobna? Wzruszył ramionami. Wszystko jest podobnem! Ale kipiał z niecierpliwości dowiedzenia się napewno, czy gumienny mówił prawdę.

Wychodził właśnie ze stodoly, kiedy w bramę dziedzińca wjeżdżała bryczka parokonna, a tuż za nią cwałował na zgrabnym koniku zgrabny chłopak. Jeździec wyprzedził bryczkę, zeskoczył z konia i, prowadząc go za uzdę, zbliżył się do Hornicza. Młody, przystojny brunet z twarzą bardzo roztropną i śmiałą, zdejmując czapkę, rzekł:

— Niech pan nie gniewa się, że zabawiłem tak długo...

Schyliwszy się, pocałował opiekuna i pryncypała w ramię, nieco powyżej ręki. Ten pocałunek fizycznie zabolął Hornicza. Chciał coś powiedzieć, ale bryczka stanęła już przed domem, i Górkiewicz wysiadł z niej i wszedł na ganek. Odwróciwszy się tedy od chłopaka, szybko poszedł ku domowi. W kilka minut potem znalazł się sam na sam z gościem w pokoju, który nosił nazwę jego gabinetu i był pełnym rachunków gospodarskich, książek, szkiców, obrazków, drobiazgów artystycznych, postarzałych i zakurzonych. Górkiewicz był blondynem przystojnym, młodszym od Hornicza, z wyrazem twarzy rozumnym i energicznym, teraz jednak zmieszonym. Hornicz bez żadnego wstępu rzekł do niego:

— Czy to prawda, Bolesławie, że wyjeżdżasz?

Po chwili przykrego milczenia Górkiewicz z żywością zaczął mówić:

— Wyjeżdżam, i nie mów mi już nic, bo wiem z góry, co powiesz. Przedewszystkiem zapytasz: dlaczego przed tygodniem powiedziałem ci, że nie pojedę? Ot, widzisz, z powodu głupiego wstydu... Tyleśmy o tem zawsze mówili, że nie mogłem odrazu zebrać się na odwagę. Zresztą tydzień temu rzecz nie była jeszcze pewną i dopiero przed dwoma dniami zawarłem umowę stanowczą... A jeśliby zamiar nie miał przyjść do skutku, wolałem, abys nie wiedział, że go miałem.

— To jest, abym przez całe życie poczytywał cię za innego, aniżeli jesteś.

— Niech to będzie dowodem, jak wysoko cenię twój szacunek...

Hornicz z silnym blaskiem oczu zapytał:

— Jaką pensję brać będziesz?

— Pięć tysięcy rocznie.

— Ileż wart dla ciebie mój szacunek: dwa, trzy, cztery tysiące? bo w każdym razie mniej niż pięć!

Górkiewicz zarumienił się.

— Bierzesz zawsze rzeczy zbyt tragicznie. Mówiłem ci nieraz, że jest to szczególną cechą twego charakteru, czy umysłu...

— Jest to istotnie szczególną cechą mego charakteru, czy umysłu, że sprzecznosc czynów z zasadami wydaje mi się farsą, z której do łez śmiać się można.

Górkiewicz chodził po pokoju krokiem wzburzonym.

— Zasady — mówił — zasady! Mam je, tak samo, jak i miałem. Ale człowiek jest człowiekiem, i żadne zasady nie mogą oprzeć się takiemu życiu, jakie tu prowadzimy. Psie życie!

— Przepraszam cię, — przerwał z żywością Hornicz — życie jest psiem — na to zgoda; ale niema prawie takiego psa, któryby opuścił jednego pana dla drugiego z powodu szynki chudszej albo tłuszcjszej.

— Gdyby miał rodzinę do wyżywienia, wychowania! Ja mam żonę i dzieci!

— Wielki Boże! — zawołał Hornicz — wkrótce posiadanie żony i dzieci udzielać będzie prawa zarzynania ludzi dla zdobycia ich sakiewek!

Górkiewicz z twarzą palającą stanął przed sąsiadem.

— Mówisz mi ciągle impertynencye, których nie zniósłbym od kogo innego, ale od ciebie znoszę, bo byliśmy przyjaciółmi...

— Byliśmy przyjaciółmi! — zawtórował Hornicz.

— I stosunek przyjacielski z tobą bardzo mi dopomagał do znoszenia kłopotów, nudy i wszelkich nędz tego psiego życia... Więc nietylko zniosę, coś mi powiedział, ale jeszcze poproszę cię o przebaczenie. Namówiłem tego Pawelka, aby tam jechał ze mną...

— Naturalnie; — wtrącił Hornicz — byliśmy przyjaciółmi.

Górkiewicz, ciągle bardzo cierpliwy, mówił dalej:

— Taki chłopak roztropny i doskonale wyuczony gospodarstwa będzie mi tam bardzo użytecznym...

— Był mnie także użytecznym i w dodatku bardzo miłym, ale że pociągnąłeś go perspektywą<sup>3</sup> karyery, to naturalne. On był moim wychowawcą, a ty prawie przyjacielem.

— Jesteś dziś gorzkim, jak pieprz hiszpański; ale się temu nie dziwię. W tej ciernistości, a zwłaszcza ciasnocie stosunków i warunków można zgorzknąć, kwaśnieć i nawet żywcem zgnić. Co mnie najbardziej znęciło do wyjazdu w owe dalekie strony, jest właśnie to, że będę mógł działać na szeroką skalę. Jestem przecież agronomem wykwalifikowanym

<sup>3</sup>perspektywa — dalszy widok, — tutaj: nadzieję. [przypis autorski]



i mam pasyę do gospodarstwa wielkiego, która na mojej małej Zaleśnie aż skwierczała, tak była dławioną. Tam, na przestrzeniach ogromnych i zaledwie napoczętych przez eksploatacyę, szeroko odetchnę pierśią i znajdę sposobność do rozmachu ramion...

Hornicz ochłonął nieco z gniewu; siedział teraz z głową opartą na ręku, bardzo smutny.

— Działalność szeroka, oddech pełny — przemówił — to ponęty istotnie silne... Życzę ci powodzenia!

— Dziękuję; czy przebaczasz mi Pawełka?

Hornicz spokojnie odpowiedział:

— Samemu sobie tylko nie przebaczam, że, będąc starym wróblem, jeszcze raz zła-pałem się na plewy...

— Jakie? — zapytał Górkiewicz.

— Zasad twoich i wdzięczności tego chłopca.

Górkiewiczowi zaiskrzyły się oczy, przygryzł wargę i pochwycił czapkę ze stołu.

— Przyjadę jeszcze pożegnać się z tobą przed odjazdem. Dziś muszę być w kilku miejscach.

Hornicz wstał i, końcami palców dotknąwszy zaledwie dłoni, którą do niego wyciągnął był Górkiewicz, zapytał:

— A co będzie z Zaleśną?

— Wypuszczam ją w dzierzawę.

— Zapewne z czasem sprzedasz?

— Nigdy w życiu! — z uniesieniem zawołał Górkiewicz.

— Mój drogi — rzekł Hornicz — wyrazy: nigdy i zawsze! nie powinny dotykać ust człowieka, który nie chce kłamać przed innymi i sobą samym.

W dwie minuty potem bryczka Górkiewicza zaturkotała na dziedzińcu, Hornicz stał u okna i, ścigając wzrokiem sąsiada odjeżdżającego, myślał:

— Działalność szeroka, oddech pełny, przyszłość dzieci ubezpieczona... Zapewne też choć odrobina przyjemności umysłowych i towarzyskich... wszystko to mieć będzie i za tem pogonił. Który z nas mądry, a który głupi?

Pomimo wszystko czuł za odjeżdżającym żal dotkliwy. To, co ich wiązało, nie było właściwie przyjaźnią, tylko stosunkiem przyjaznym. Hornicz nie otwierał duszy przed Górkiewiczem, bo wiele tam było rzeczy, które mógłby powierzyć chyba rodzonemu bratu. Ale na znacznej przestrzeni był to jedyny człowiek, znajdujący się na tym samym co on poziomie umysłowym. Gdy go nie stanie, usta zamkną się mu ostatecznie. W czasie długich miesięcy jesiennych i zimowych Górkiewicz niekiedy przyjeżdżał do Zapolanki i w tym samym pokoju rozmawiali całe godziny o życiu, książkach i różnych sprawach tego świata. Teraz i to zniknęło. Pawełek także zniknie. Ale to będą rzeczy zwyczajne i dobrze mu znane. Nieraz, i nawet nie dziesięć razy, spostrzegał nieustanne i nieuchronne zmienianie się dokoła człowieka widnokregu jego przywiązań i przyzwyczajzeń. Za każdym razem doświadczał smutku, zięjącego ze zmienności rzeczy ziemskich, ale stał się mu on już dość powszednim. Wczoraj było, dziś niema; dziś jest, jutro nie będzie: historia starożytna a powszechna. Ale głębiej i ostrzej zaszła mu w serce przyczyna, dla której teraz dwaj ci ludzie mieli zniknąć z jego życia. Była nią gonitwa za zwiększeniem sumy wygód i przyjemności różnorodnych — nic więcej: dochody i karyera! Wcale nie obowiązek i nie dążność, sięgająca poza granice ich interesów osobistych rzędu niższego, — tylko dochody i karyera! Prowadziło to za sobą szereg refleksji<sup>4</sup> i przewidywań ciemnych, nie mających związku bezpośredniego z nim samym, ale będących w związku ścisłym z jego ponurem zapatrywaniem się na ludzi i różne sprawy świata.

Był to przytem zawód. Górkiewicza poczytywał za człowieka, rozumiejącego życie, oddane obowiązkom wyższego rzędu. Pawełka uczył sam rozumieć takie życie, i zdawało mu się, że nauczył. Omylił się, ale niezupełnie. Górkiewicz był istotnie człowiekiem uczciwym i poważnym, a Pawełek — chłopcem dobrym i wdzięcznym, tylko że te ich przymioty nie wypełniały pewnej miary i nie posiadały pewnej siły.

Ta sama historia, co z naturą jego żony i jej siostry. Sabina była kobietą uczciwą i dobrą, ale ograniczoną i słabą, jak kurczątko; Rozalia — wykształconą, ale zmienną,

<sup>4</sup>refleksja — rozmyślanie. [przypis autorski]

jak fala. Nic w tem niema pocieszającego; owszem, jest to właśnie najsmutniejszym. Bo z pociechą wielką powiedziałby sobie: to są lotry i dyablice, to bohaterowie i anioły! albo przynajmniej: poszukajmy bohaterów i aniołów!

Ale pewność, że wszystko na ziemi, nie będąc ostatecznie złem, nie jest także doskonałym, że, jeżeli nie godzi się pluć na nic, to i ukłęknać niema przed czem, — leje w serce i umysł cikliwość nieznośną.

Z dwóch pokoi przyległych dochodził go odgłos kroków drobnych i śpiesznych, szepety cichutkie, śmieszki przymilone. Wiedział dobrze, co to znaczyło: Sabina usiłowała powrócić do łask Rozalii. Ilekroć starsza siostra stawiała się osą, młodsza usiłowała stać się dla niej miodem. Czyniła to zapewne przez dobroć serca, współczującego posepnemu usposobieniu siostry, ale więcej jeszcze dla miłości świętego spokoju. Nuż rozchmurzy się i przestanie zakwaszać atmosferę domową! Nie osiągało to skutku prawie nigdy, ale powtarzało się zawsze. Kurczątko nie mogło żyć w atmosferze burzliwej, a nie rozumiało, że tylko czas i polepszony proces trawienia mogą przywrócić nietrwałą pogodę. Wiedziała o tem, że mąż jej siedzi w pokoju swoim sam jeden, zmartwiony historią Górkiewicza i Pawelka, jednak nie przychodziła do niego, tylko biegła ciągle do pokoju Rozalii z przysługami, ze śmieszkami i z szeptami. Bo od niego nie lękała się, tak jak od niej, rzeczy przykrych i niepokojących. Z tego wynikałoby, że, chcąc doświadczyć dobroci ludzkiej, trzeba umieć być złym.

Słońce było już blizkiem zachodu, pora wieczery nadchodziła, gdy do pokoju Hornicza wszedł Filipek, i położywszy na stole list i parę dzienników, odszedł.

Hornicz przypomniał sobie, że dziś był dzień posyłania na pocztę, a raczej na stację kolei, po dzienniki i listy — właściwie po dzienniki, bo Horniczowie prowadzili oddawna życie tak ustronne, że listy przybywały do nich bardzo rzadko. Ale ten, który przybył teraz, miał widać coś szczególnego w samym piśmie adresu, bo Hornicz rozdarł kopertę bardzo pośpiesznie, a potem, stronicę zapisaną przeczytawszy, z oczami rozbłysłymi rzucił się ku drzwiom.

— Sabinko! Sabinko! Sabinko! — wołał żony głosem niezwykle donośnym i narzmiiałym radością.

Sabina stała z łokciami opartymi o stół, przy którym Rozalia nadąsana i milcząca siedziała z głową zwieszoną nad książką. Na głos Hornicza drgnęły obie; Rozalia z głośnym syknięciem zasłoniła uszy dłońmi, Sabina przybiegła do męża z oczami wylękłymi.

— Co? co? co się stało? — wyszeptała z trwogą.

Hornicza drażniła zawsze w sposób przykry lękliwość niesłychana żony; tym razem wyjątkowo wzmogła jego wesołość.

— Czegóż się złękłaś, Bińciu, czegóż się tak złękłaś, cha, cha, cha! — wołał ze śmiechem. Stało się rzeczywiście, a stanie się coś bardzo dobrego, przyjemnego i z czego tak się cieszyć, tak się cieszyć! Wiktor przyjeżdża do nas! Posłuchaj, co pisze.

Przeczytał żonie krótki list brata.

— „Kochany Zeńku, ósmego września, we wtorek, przyjadę do was. Bądź łaskaw przysłać po mnie konie na stację. Jadę za granicę z poleceniem obejrzenia we Francji i w Anglii najnowszych systemów gorzelnianych i będę przejeżdżał o kilka wiorst od Zapolanki. Pragnę bardzo zobaczyć was i wasze dzieci. Wszakże to lat osiemnaście, jakieśmy się nie widzieli! Dwa dni zabawię u was. Ukłony niziuteńkie szanownej bratowej. Twój przywiązany brat, Wiktor”.

Hornicz był tak wzruszony, że musiał całą minutę kombinować, nim skombinował, kiedy to będzie ten wtorek i ten ósmy września.

— To już jutro! — zawołał, ale przeniósłszy wzrok z papieru na żonę, trochę zmarnotniał.

— Co ci jest? Czegóż znowu tak się przelękłaś? — zapytał z trochę niecierpliwości w głosie.

Sabina z oczyma ogromnie wylękłymi i czołem zmarszczonem prawie boleśnie, zaczęła mówić głosem cieniutkim:

— Boże, mój Boże! co to będzie? Tak cieszę się, że Wiktor przyjedzie, nadzwyczaj cieszę, bo przecież to twój brat, i wiem, że kochaliście się bardzo!.. Ale to taki światowy człowiek, taki wielki pan... gdzie my go umieścimy? Jak przyjmujemy? Ta Maryanna jest dobrą kucharką, ale często weźmie i coś zepsuje....

Spojrzenie jej niespokojne, jakby błędne, padło na okna.

— Firanki brudne! — jęknęła, splatając ręce drobne, zawsze trochę różowe, a teraz drżące.

W tej chwili Rozalia stanęła we drzwiach otwartych. Sabina, biegnąc do męża, zostawiła za sobą wszystkie otwartymi, tak, że siostra słyszała rozmowę jej z mężem i list, głośno przez niego przeczytany. Teraz stanęła obok nich obojga z brwiami ściągniętymi, z kwasem w ustach skrzywionych, i tonem oschłym, nauczycielskim przemówiła wyłączenie i wyraźnie tylko do siostry:

— O co się tu tak troszczyć? Król jakiś przyjeżdża, czy co? Przecież twój dom nie jest bynajmniej śmietniskiem i w dwie godziny można go uporządkować. A Maryanny chyba już potrafisz dopilnować, bo, co jak co, ale na kuchni znasz się...

Nie zważając wcale ani na ton mówienia, ani na »co jak co«, Sabina chciała rzucić się siostrze na szyję za to, że pierwsza przemówiła do niej, za to, że ofiarowała się zażegnać jej ciężką troskę. Ale Rozalia już weszła na krzesło, stojące u okna i podniosła ramiona dla zdjęcia firanki.

— Niech Sabinka przyśle Kasię, aby pomogła wynieść na dziedziniec i wytrześć z pyłu firanki...

— Może pozwolisz mnie to uczynić? — pokornie zapytała Sabina.

Rozalia z wysokości swojej i tonem, niepozwalającym na sprzeciwienie się żadne, odpowiedziała:

— Sama to zrobię, przyślij mi tylko Kasię!

Sabina wybiegła z pokoju krokiem jeszcze drobniejszym i prędszym, niż zwykle; Hornicz schwycił ze stołu stary kapelusz pilśniowy i wybiegł z domu. O urządzenie pokoju dla gościa drogiego i o przyzwoite przyjęcie mógł być spokojnym zupełnie, skoro Rozalia wmieszała się w tę sprawę.

Co się tam przy tych robotach biedna Sabinka nadrzy i nacierpi, to już rzecz inna i nieunikniona. Ale wzamian można było ręczyć, że robota będzie wykonana dobrze, i że zarazem atmosfera domowa rozpogodzi się na czas jakiś.

Bo każda okoliczność, wymagająca pracy, starań, nawet poświęcenia, ilekroć się zdarzyła, przecinała jak nożem zły humor Rozalii. Rozpoczynała czynność w sposób szorstki i despotyczny, ale dalszy jej ciąg stopniowo ją ułagadzał, rozpogadzał, rozpromieniał.

Ruch fizyczny i moralny, zmiana zajęć i wrażeń były fizyczną i moralną potrzebą tego organizmu, który wśród jednostajności dni i otoczenia podupadał, cierpł i kwaśniał.

O tem wszystkim Hornicz myślał w tej chwili przelotnie i króciutko. Serce jego było poprostu wezbrane radością. Nie szedł, ale prawie biegł drogą, prowadzącą pomiędzy łąkami pól żętych, ku małemu wzgórzu z laskiem sosnowym. Ilekroć wychodził z domu bez gospodarskiego celu, szedł zwykle w tym kierunku, i stało się to przyzwyczajeniem, któremu teraz ulegał nieświadomie. Bo nie wiedział, dokąd idzie, zatopiony w myślach, krążących wciąż dokoła jednego przedmiotu, którym był przyjazd brata. Wtedy dopiero, kiedy już znalazł się na spadzistości wzgórza, spostrzegł, gdzie był i, zdjęwszy kapelusz, objął wzrokiem krajobraz, który niegdyś był świadkiem najważniejszego momentu w jego życiu. Podniecenie uczuciowości, sprawione przez wieść otrzymaną, potęgowało skłonność do wspomnień, którą, jak wszyscy ludzie smutni, posiadał w stopniu wysokim. Więc wszystko, co poprzedziło ów moment stanowczy przed laty jeszcze osiemnastu, wszystko, co wywołało go i co po nim nastąpiło, nietylko stanęło mu jasno przed pamięcią, lecz wdzierало się w nią z natarczywością, której nie przewyciężał, bo lubił zatapiać się we wspomnieniach.

Przed osiemnastu laty był w Monachium, gdy otrzymał od brata starszego list z wiadomością, że ojciec ich jest umierający. Miał podówczas lat dwadzieścia sześć i, ukończywszy szkołę sztuk pięknych, oddawał się studjom i pracom malarskim. Sztukę kochał ogromnie i studował sumiennie, ale zapal jego do pracy był nieco ostudzony przez wątplenie o siłach własnych, a pogoda ducha zmałona przez zawód serdeczny. Obrazy jego nie doznawały powodzenia; kobieta, którą ubóstwiał, spadła mu z piedestału tak fatalnie, że ani wątpić o tem, ani łatwo pocieszyć się nie mógł. Zaczynał tedy czuć się nieszczęśliwym, gdy przysłano mu wieść o niezawodnie zbliżającej się śmierci ojca.

Był to wypadek niespodziewany, którego rychłej możliwości dotąd nie przypuszczał.

Ptakiem poleciał do Zapolanki, gdzie znalazł ojca już nieżyjącego i brata, który przed niewielu dniami przybył tu przypadkiem, w przejeździe, na krótko.

Wnet powstało u obu braci zagadnienie: co czynić z Zapolanką? Kiedy wybierali dla siebie kierunki życia i pracy, krzepki organizm i dobre zdrowie ojca zdawały się zapowiadać życie długie, i dwaj bracia obrali sobie zawody według swoich skłonności i zdolności: jeden został inżynierem, drugi artystą. Teraz spadła na nich ta wioska, z którą nie wiedzieli, co czynić. Dla Wiktora pozostanie w niej było niepodobieństwem zupełnym; Zenon także nie mógł zrazu myśleć o tem bez odrazy i zdziwienia.

Według Wiktora wydzierżawienie ziemi mogło tylko spowodować utratę mienia całkowitą, z dodatkiem kłopotów nieprzyjemnych i niepotrzebnych; obstawał przy sprzedaniu Zapolanki i podzieleniu się sumą, jaka będzie ze sprzedaży.

Zenon przystał zrazu, potem zawahał się i zażądał zwłoki; raz jeszcze zgodził się na zamiar brata i znowu wynajdywał zarzuty przeciw niemu, namyślał się, zwlekał. Chodził tymczasem po polu, po lesie, zaglądał we wszystkie kąty dworu i domu, przypominał sobie różne dawne zdarzenia, wrażenia, osoby. Odwiedził też parę dworów sąsiednich. Wiktor niecierpliwił się i naglił; nie miał czasu na długie czekanie i potrzebował wiedzieć dokładnie: co, ile i kiedy mieć będzie.

Wówczas to pewnego wieczoru, podobnie jak dziś jesiennego, Zenon znalazł się na tej samej spadzistości wzgórza z laskiem sosnowym i, podobnie jak dziś, objął wzrokiem krajobraz z punktu tego widzialny. Siedział na kępach mchu, wsparty o pień drzewa zrąbanego, pośród trzmielin, zaróżowionych przez jesień, paproci rdzawych i jałowców, które usychając, nabierały barwy krwistej. Za nim stały sosny ciemne i gdzieś tam brzozy, całe w złocie; przed nim, po obu stronach drogi polnej jeżyły się łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszane nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane, albo zasłane ścierniskiem złotem, okryte zmarszczkami zagonów, falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż pod skraje niebios, usianych obłokami, nabrzmiałymi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie, jak ściana krwawa, ze szczytem rozplywającym się w złocistość. Jej blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami, rozrzuconymi po wzgórzach nad dworem Zapolańskim, który ze swymi drzewami i kominami wyglądał, jak obrazek sielski, wymalowany na tle złotoróżowem.

Naprzeciw, w stronie wschodu, omglonej i liliowej, wieś chłopska długa, szara, wywijająca ku górze kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczoru i smutek jesieni; była też rzadka piękność rzeczy prostych i wspaniałych. Zenon patrzył długo na ziemię i niebo, tak zatapiając w nich zmysły, zarówno jak duszę, że zdawało mu się, iż niemi oddycha, i nawzajem, jest przez nie wchłanianym.

Uczuł się jednym z atomów<sup>5</sup>, składających te obłoki, tę zorzę, te pola, pomarszczone zagonami, te sosny, poplamione żółcią brzoź i różowością trzmielin.

W tej chwili proces spajania się z tem otoczeniem, rozpoczęty od przybycia do Zapolanki, odbył się w nim ostatecznie; a następstwem jego było to, że pozostał w Zapolance. Gdyby posiadał młodzieńczą wiarę w siebie i w ludzi, byłby może tego nie uczynił; ale poczuwając się tylko do niejakich zdolności, wątpił o ich sile i wadze, a życie napoczęło go już było tym najzjadliwszym ze swych zębów, którym jest rozczarowanie. Taki, jakim był, nie mógł już oderwać się od tego, czego uczuwał się częścią, ani dla sztuki, ani dla sławy, ani dla szczęścia, w które, o ileby mogło być na ziemi doskonałem, już niebardzo wierzył. Zawarł tedy układ z bratem i pozostał.

Od tego czasu upłynęło lat osiemnaście. Jak upłynęło? On jeden tylko wiedział, a teraz dopiero dowie się o tem brat jego rodzony, tak dawno niewidziany, że wydawał się snem zapamiętanym z młodości, kiedy to jeszcze było dobrze, i była wiara w to, że może być dobrze.

Pisywali do siebie bardzo rzadko, czasem raz na lat parę; jeden o śmierci drugiego mógł dowiedzieć się z gazet, albo wypadkiem; ale Zenon nie rościł o to do Wiktora

<sup>5</sup>Uczuł się jednym z atomów — najdrobniejszych cząsteczek, z których składają się ciała. [przypis autorski]

pretensji żadnej. Myślał o nim czasem z żalem, czasem z goryczą, ale nigdy z gniewem. Gorycz wyrażała się w myśli: „Nieobecność i zapomnienie są synonimami”<sup>6</sup>.

W głębi był pewny, że brat jego jest dużo lepszy od ludzi innych; przede wszystkim zaś, że jest mu najbliższym z ludzi. W porównaniu z nim nawet żona była dla niego znajomością świeżą. Poznana i poślubiona w stronach dość dalekich, nie знаła nic z tego, co wypełniło jego dzieciństwo i pierwszą młodość. Teraz dopiero zobaczy człowieka, który, tak jak on sam, znał jego matkę i płakał po jego ojcu, do którego w każdym kątku Zapolanki będzie mógł powiedzieć: Czy pamiętasz? Wspomnienia wspólne wydawały się węzłem ogromnie silnym, jemu, który lubił wspominać. Przytem, o Boże, będzie mógł dwa dni przepędzić z duchem ludzkim równym sobie, zapewne nawet wyższym; zasięgnąć jego rady w sprawach osobistych i powszednich, nagadać się z nim o rzeczach oderwanych, wysokich, najważniejszych dla człowieka, o których wiecznie myślał tylko, myślał, myślał sam jeden.

Nakoniec po latach długich otworzy przed kimś duszę aż do dna i będzie mógł powiedzieć komuś: „Widzisz, com przecierpiał i czego wyrzekł się i czego uczynić nie mógł; co mię cieszy, a co boli, dolega i trwoży!” Nakoniec odetchnie szeroko przy sercu silnym i współczującym, któremu będzie mógł bez wahania i skrupułu powierzyć wszystko, co było sercem braterskim.

Nie mieli rodzeństwa innego, ani nawet żadnych bliskich krewnych; na całym świecie jeden z nich dla drugiego był najbliższym krwią i duchem, niezawodnie i duchem, bo Zenon Hornicz pamiętał wysokie wykształcenie umysłowe brata i serdeczne obchodzenie się jego z ludźmi.

Wiktor był człowiekiem wysoce rozumnym, uczciwym i dobrym, to nie ulegało wątpliwości najłżejszej. Że po kilka miesięcy zrazu, później po lat parę nie odpisywał na jego listy; że nie odwiedził Zapolanki od lat już osiemnastu — czegoż to dowodzić mogło? Tylko pracy zawodowej ogromnej, wiru stosunków światowych, może także trosk rodzinnych, bo Wiktor ożenił się był dość młodo, miał córkę, przed kilku laty owdowiał, o czym doniósł mu był w liście krótkim, ale pełnym smutku. On także przez ten czas długi musiał wiele przecierpieć i nieraz pochylać się nad otchłaniami bytu w zamyśleniach zdumionych i ciężkich. Takie serca miękkie, jak jego, są materiałem szalenie podatnym dla wszystkich rylców i lancetów życia. Bo Wiktor miał serce miękkie. Zenon pamiętał dobrze serdeczny żal brata po stracie ojca i łatwość przyjacielską, z jaką zawarł z nim układy majątkowe. Teraz, przy pierwszej możliwości — przyjeżdża... Dobry, uczuciowy, rozumny człowiek i — brat, brat rodzony ze krwi i z ducha!

Zenon siedział na spadziści wzgórza przed krajobrazem ulubionym, rozmarzał się poprostu. W wyobraźni jego postać brata, niewidziana od dawna, z każdą minutą stawała się większą, piękniejszą i droższą. Dwa dni, które miał z nim przepędzić, zaczęły rzucać nawet na przyszłość dalszą promienie nadziei najpiękniejszych. Teraz, kiedy zobaczą się znowu i przypomną sobie, czem są dla siebie, nigdy już nie rozstaną się na tak długo. Stosunek ich listowny będzie odtąd ożywiony; niekiedy to jeden, to drugi puści się w podróż, aby odwiedzić brata, choćby miał ponieść dlatego niejake ofiary. Odtąd on, Zenon Hornicz, nie będzie już duszą samotną i milczącą, wyrzuci z serca smutek, który oddawna spadł na dno jego, jak ciężarek żelazny na szalę. Przeciwnie, jadąc czasem do brata, wyjedzie w świat szeroki, ujrzy i usłyszy to, czego nie spodziewał się już widzieć i słyszeć, otrze się ze śnieży, poweseleje... życie mu ożyje...

Porwał się z mchu, na którym siedział, wspierając się o pień drzewa zrąbanego, i rażym krokiem, z twarzą wesołą puścił się ku domowi.

## II

O tej samej godzinie, której dnia poprzedniego Horniczowie jedli obiad w atmosferze zatrutej kwasem i posępnością, przy tym samym stole panował gwar głosów ożywionych i wesołych. Zenon Hornicz mógłby znaleźć w tem temat do rozmyślań nad pierwiastkiem życia, który zawsze najsilniej uderzał jego umysł, mianowicie nad zmiennością wszystkiego w życiu. Ale on teraz nie rozmyślał nad niczem, bo ze wszystkich poruszeń wewnętrznych istniały w nim tylko radość i czułość, ze wszystkich zmysłów wzrok, dla którego

<sup>6</sup>synonimy — wyrazy blizkoznaczące. [przypis autorski]

znowu nie istniało w tej chwili nic, oprócz brata. Tylko co przywiózł go był ze stacyi kolei i prawie wprost z bryczki poprowadził do stołu. Protestów Wiktora przeciw ukazaniu się damom w ubraniu podróżnym i okurzonem ani chciał słuchać; śmiał się z nich głośno i serdecznie, mówiąc, że jego żona i jej siostra nie były damami, tylko kobietami i w dodatku wieśniaczkami, nie znającymi się na etykiecie światowej.

— Ależ nie mam jeszcze przyjemności znać twojej żony i jej siostry, a ukazywać się im po raz pierwszy w sposób tak *nieawantażowny*...

Nie skończył zdania rozpoczętego, wciągnięty prawie przemocą do pokoju, w którym znalazł się wobec Sabiny, tak złęknionej, że ręce jej drżały, i wobec Rozalii poważnej, ale uprzejmej. Anielka i Kazio, trochę wystrojony na przyjazd stryja, stali za matką i ciotką. Wiktor pocałował w rękę obie kobiety i oświadczył radość z tego, że je poznaje, ucisnął też z serdecznością wielką witające się z nim dzieci, zatrzymał przez sekundę spojrzenie uważne na oczach Sabiny, biegających z przelęknienia, i na pięknej kibici Rozalii; powiedział jeszcze parę zdań grzecznych, miłych, potocznych, i zaraz potem wszyscy zasiedli do stołu.

Dla każdego, nie znającego obu braci, musiałyby wydać się niepodobieństwem to, że Wiktor był starszym od Zenona, bo wyglądał na młodszego o dobre lat dziesięć. Był szatynem, średniego wzrostu, z małym początkiem otyłości, ale z ruchami młodymi i elastycznymi. Czoło miał białe i otwarte, policzki czerstwe, wąż zakręcony elegancko nad wargami wydatnymi, oczy piwne, piękne, bystre i wesołe. Mówił płynnie, z łatwością; swoboda obejścia się objawiała w nim wprawę wielką w załatwianiu interesów, spotkań, rozmów najrozmaitszych. Ubranie, w którym nie chciał się ukazywać damom — istotnie, okurzone nieco w drodze — uderzało wytwornością materiału i zgrabnością kroju. Uderzającym był również dźwięk głosu jego, pełen słodczy i ciepła sympatycznego, które malowały się także w spojrzeniach i uśmiechach.

Zasiadłszy do stołu, okrył serwetą przód ubrania i z apetytem zjadał zupę, która wybornie udała się Maryannie; przytem opowiadał różne zdarzenia swojej dość długiej podróży w sposób tak zajmujący i często zabawny, że nawet Sabina przestała lękać się człowieka nieznajomego i troszczyć się o wartość podawanych potraw, ale słuchała go z zajęciem i przyjemnością.

Zenon, zupełnie naiwnie i prawie jak dziecko, wybuchł głośnym śmiechem przy każdym trochę dowcipnym słowie brata; ale to w nim było osobliwego, że, chociaż śmiał się szczerze, głośno, oczy jego pozostawały na dnie smutnymi. Nalewał do szklanki i kieliszka gościa piwo i wino, które dziś pośpiesznie z miasteczka był sprowadził, zachęcał go do jedzenia i picia, przychyłony ku niemu, poprostu, patrzył mu w oczy.

Na to zajęcie się nim brata szczególnie, gorączkowe, Wiktor prawie nie zwracał uwagi; — jadł dużo, pił trochę, opowiadał, śmiał się, patrząc najwięcej na Rozalię i zwracając mowę najczęściej do niej. Ona też głównie podtrzymywała rozmowę z gościem, bo Sabina, zazwyczaj małomówna, wobec człowieka nieznajomego milkła, jak ryba. Zenon był zbyt wzruszony, aby mógł zdobyć się na porządną rozmowę; Pawełek, obecny dziś przy stole, był zaciekawiony, ale też i zmieszany; dzieci naturalnie, milczały, z oczyma wlepionymi, jak w tęczę, w świeżo poznanego stryja.

Rozalia była spokojna i pewna siebie; zadawała gościowi pytania, które zręcznie podsyłały jego werwę, odpowiadała mu w sposób swobodny i zajmujący, w częstowaniu go poprawiała niezręczności, popełniane przez zaleknioną siostrę i wzruszonego szwagra. W sukni czarnej, ale odświętnej, z kruczemi włosami, uczesanymi w sposób prosty i zarazem malowniczy, z kibicią kształtną i regularnymi rysami twarzy, była piękną kobietą przekwitającą, lecz jeszcze ponętną. Wiktor przypatrywał się jej nieznacznie, ale z zajęciem; poczem przenosił wzrok na bratową, na brata, i w oczach jego przebiegał wyraz zdziwienia, albo filuterności.

Rozmowa krążyła dokoła podróży, którą Wiktor Hornicz odbył i miał odbyć, a także dokoła podróżowania w ogólności. Rozalia była dziś pogodną i uprzejmą dla wszystkich, z wyjątkiem Pawełka, z którym nie przywitała się przed obiadem, udając, że go nie spotrzega. W połowie obiadu dopiero błysnęła ku niemu spojrzeniem ironicznym i z równie ironicznym śmiechem rzekła do gościa:

— Mamy tu pomiędzy sobą kogoś, kto także wybiera się w podróż po złote runo!



Wiktor spojrział na chłopaka, który zarumienił się jak piwonia i spuścił oczy z uczuciem przykrości widocznym. Nie mówił jeszcze wcale z pryncypałem i dobroczyńcą o zamiarach swoich, i to publiczne wydobycie ich na jaw wprowadziło go w położenie kłopotliwe. Zenon Hornicz zrozumiał to natychmiast i pomimo urazy, którą czuł do wychowańca, żał mu się go zrobiło. Poco go tak zawstydzac? Taka rozmowa, jaką on z nim mieć będzie, odbyć się powinna na cztery oczy. Dla wydobycia więc Pawełka z położenia niemiłego, zaczął Zenon prędko i długo opowiadać bratu o Górkiewiczzu, o naturze i korzyściach posady, którą otrzymał i dla której te strony opuszcza, o jego zamiłowaniu w agronomii<sup>7</sup> i gospodarstwie szerokim, które skłania go do wyjazdu silniej jeszcze, aniżeli interes pieniężny.

Rozalia potakiwała słowom szwagra. Przyznawała Górkiewiczowi dużo inteligencji i nauki. Taki człowiek może wszędzie uczynić wiele dla siebie i dla innych. Wiktor, któremu brat przedstawił był Pawełka jako wychowańca i pomocnika swego, z uprzejmem spojrzeniem na młodzieńca zapytał:

— Czy zamierzona podróż pana zostaje w związku z odjazdem p. Górkiewiczza?

Zamiast zapytanego Rozalia odpowiedziała:

— A tak, pan Paweł jedzie także robić fortunę! Od dwóch miesięcy miał ten zamiar, a szwagier mój i my dowiedzieliśmy się o nim dopiero wczoraj i ze strony. Ale to nic dziwnego, bo po pierwsze, niema na świecie karesu, któryby nie poszedł w kąć dla interesu...

— Pani wyborne przerabia przysłowia! — zaśmiał się Wiktor.

Ona zaś dokończyła:

— A powtóre, gdzie konie kują, tam i żaby nogi podstawiać muszą!

Mówiła to swobodnie, wesoło, tak, jak gdyby nie przechodziło jej przez myśl dotknąć kogokolwiek temi słowami. Pawełek przecież miał minę człowieka, rozciągane go na torturach; Zenon Hornicz oburzył się za niego i rzekł z powagą:

— Co do żab i koni, to nie można nigdy twierdzić napewno, kto jest koniem, a kto żabą. Co zaś do tajemnicy, czynionej przed nami, pochodziła ona tylko z wahań i namysłów — przyszłego podróżnika.

Przy ostatnich wyrazach z żartobliwością przyjacielską mrugnął ku Pawełkowi, który wlepił w niego oczy zdziwione i zachwycone. Wiktor zwrócił się ku młodzieńcowi z poufałością przyjacielską i czyniącą wrażenie sympatyczne.

— Ależ wiesz panu przedsiębiorczości i energii! Bardzo dobrze, bardzo pomyślnie, że zdarzyła się panu posada korzystna i sposobność pracowania pod przewodnictwem człowieka tak przedsiębiorczego i energicznego, jakim, o ile tu słyszę, musi być p. Górkiewicz. Przedewszystkiem przedsiębiorczość i energia! Trzeba zawczasu budować sobie przyszłość!

— Ależ — wtrącił Zenon — budowanie przyszłości nie zależy tylko od mniej lub więcej korzystnej posady i znacznych dochodów!

— A od czegoż więcej zależy? — zapytał Wiktor.

Zenon z niejakim zadziwieniem w głosie odpowiedział:

— Przecież człowiek młody ma przed sobą przyszłość podwójną: materyalną i moralną.

Wiktor zaśmiał się i śpiesznie potwierdził:

— Ależ tak, to się rozumie, o tem przecież nie trzeba wspominać! Piąte: Nie zabijaj! szóste: Nie kradnij!

Zenon przerwał śpiesznie:

— To elementarne! Naturalnie, że moralności kodeksowej wspominać nawet nie trzeba. Ale po za jej granicami jest pole obowiązków i cnót bardzo szerokie.

Wiktor popatrzył przez chwilę na brata, zastanowił się i odpowiedział:

— A jest, rzeczywiście jest, nie wiem, czy takie szerokie, jak ty mówisz, ale jest. Tylko, że siostry miłosierdzia i inne tam owieczki Boże już po niem chodzą. I niech sobie zdrowe chodzą! Dla nas zaś, kozłów światowych, przedsiębiorczość, praktyczność, energia — przedewszystkiem! Naturalnie, że rozbijać po drogach, ani kraść, ani weksli fałszować

---

<sup>7</sup> *agronomia* — nauka gospodarstwa rolnego. [przypis autorski]

nie należy, bo za to można dostać się na tym świecie do kozy, a na tamtym, jak księża powiadają, do piekła, jeszcze gorszej, niż koza, instytucyi...

Kończył mówić, śmiejąc się, potem spoważniał.

— *A propos*<sup>8</sup> kozy, czy słyszeliście państwo o sławnym skandalu finansowym<sup>9</sup> i wynikłym z niego procesie, który zdarzył się w dniach ostatnich?

Ponieważ zaś mieszkańcy Zapolanki nic o tych rzeczach nie słyszeli i tylko trochę znali je z gazet, opowiedział je obszernie i ze szczegółami. Był to jeden ze szwindłów finansowych na skalę ogromną, z ostatnim aktem, odegranym przed kratkami sądowymi.

— A widzisz, Wiktorku, do czego doprowadzają czasem przedsiębiorczość i energia, praktykowane z wyłączeniem tych cnót, po których polu chodzą siostry miłosierdzia i inne owieczki Boże!

Wiktor spojrział na mówiącego oczyma zdziwionemi.

— A cóż to ma jedno do drugiego? Że tam kilku łotrów bank okradło, ja nie miałbym prawa zbierać sobie majątku sposobami uczciwemi?

— Masz je niezaprzeczenie; tylko że bardzo jest trudno napęłnić szkatułę, nie opróżniwszy serca.

Wiktor słuchał uważnie; ale rozśmieszyły go słowa brata.

— Co? co? — zawołał, śmiejąc się — ależ całkiem przeciwnie! Tylko wtedy, gdy się ma pełną szkatułę, można sobie napęłniać serce... różnemi dobrymi rzeczami.

— Nie wiem, o jakich dobrych rzeczach mówisz — ze zmieszaniem wtrącił Zenon.

— Wszelkiego rodzaju, mój drogi, o wszelkiego rodzaju dobrych rzeczach: rozrywkach, przyjemnościach, wesołości, a szczególnie o najlepszej ze wszystkich, którą jest miłość. Tylko mając szkatułę pełną, można pozwalać sobie na te wszystkie zbytki, zwłaszcza na ostatni, który we wszelkich znaczeniach i pojęciach był zawsze i będzie najdroższym!...

Mówiąc o miłości, rzucił spojrzenie na Rozalię, która żartobliwie zauważyła:

— Szwagier mój jest wogóle nieprzyjacielem zbytków wszelkich...

Wiktor obrócił się do brata i w twarz mu popatrzał.

— Co? Ty nieprzyjacielem zbytków? Ex-artysta? Nie wierzę! A co wyrabiałeś w Monachium, a? pamiętasz? Ale o tem teraz mówić nie wolno.

Filuternie spojrział na Sabinę, która zmieszana się ogromnie. Zenon trochę spochmurniał, ale, usiłując dostroić się do tonu brata, żartobliwie odpowiedział:

— Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. To są dawne historie, a od lat już wielu...

— Od lat już wielu zostałeś trapistą!<sup>10</sup> cha, cha, cha!

Śmiejąc się, objął ramieniem szyję brata i ucałował go w oba policzki. Przytem mówił:

— O, ty mój kochany trapisto!

Obiad był już skończony, ale Sabina, jak zwykle bywało z nią przy gościach, zapomniała o daniu znaku do wstania od stołu. Miała głowę tak napęloną tem, co gość zjadł, je i jeść będzie, a rozmowa nieco gwarniejsza tak męciła jej myśli, — że we wszelkich wypadkach podobnych byłaby do wieczora przesiadywała przy stole, gdyby w dawaniu owego znaku nie wyręczała jej Rozalia. Wyręczyła też i teraz ze znakiem porozumienia, rzuconym ku siostrze, wstając z krzesła.

W bawialni dość obszernej, z niskim sufitem i sprzętami staroświeckimi, Wiktor chwycił w pół przebiegającą obok niego Anielkę i żartobliwie zaczął pytać ją o nauki i zabawy, przyczem przypatrywał się nieznacznie szczegółom powierzchowności podlotka, który odziedziczył po matce twarzyczkę okrągłą, białą i różową.

— Pójdźmy przejść się, Wiktorze — zaproponował Zenon — wyobrażam sobie, jak musisz być niecierpliwym zobaczenia ziemi i nieba w Zapolance. Po osiemnastu latach...

I owszem, i owszem! — chętnie zgodził się gość, ale natychmiast zwrócił się ku paniom:

— Wszakże panie nie zechcą odmówić nam towarzystwa swego?

Mówił w liczbie mnogiej, ale patrzył tylko na Rozalię. Sabina uczyniła ruch niespokojny i zaszepotała coś o braku czasu i potrzebie pozostania w domu. Rozalia zaś odpowiedziała z uśmiechem:

<sup>8</sup>*A propos* — co się tyczy. [przypis autorski]

<sup>9</sup>*skandal finansowy* — pieniężny, — finanse — dochody, skarb, stan majątku. [przypis autorski]

<sup>10</sup>*trapista* — zakonnik bardzo surowej reguły, nakazującej milczenie, pracę i umartwienie. [przypis autorski]

— Nie chciałybyśmy przeszkadzać obecnością swoją pierwszej rozmowie poufnej braci, po tak długim niewidzeniu.

— Ależ, mój Boże! — zawołał gość — cóżbyśmy takiego mieli sobie do powiedzenia, czegoby świat cały słyszeć nie mógł! Nie jesteśmy przecież parą kochanków. Prawda, kochany mój trapisto?

Znowu uściśnął Zenona i obu dłońmi poklepał go po ramionach. Rozalia przecież odmówiła stanowczo wzięcia udziału w przechadzce, i bracia wyszli we dwóch do ogrodu.

Ten ogród był dziełem, uciechą i dumą Zenona. Pragnął go przedewszystkiem pokazać bratu. Były tam aleje stare, pełne wspomnień ze wspólnego ich dzieciństwa, ale zarośla malownicze, trawniki piękne, sad owocowy, bardzo rodzajny, w tej porze roku najpiękniejszymi będą dla Wiktora niespodziankami, które sprawią mu pewno przyjemność wielką; bo każdemu przecież miło być musi ujrzeć miejsce rodzinne tak starannie utrzymywane, przyozdabiane, wzbogacane. Milczał i oczyma rozpromienionemi wypatrywał na twarzy brata objawy pierwszych wzruszeń i zadziwień. O kilkadziesiąt kroków od ganku Wiktor zwrócił się ku niemu i rzekł półgłosem:

— Ta twoja szwagierka, choć nie pierwszej młodości, jest jeszcze bardzo interesującą. Musiała być kapitalnie piękną, a i teraz jeszcze, oho! dyabelki w oczach siedzą! Przytem jest bardzo przyjemna w rozmowie... Cóż ty na to?

Uśmiechnął się filuternie, patrząc bratu w oczy. Dla Zenona takie rozpoczęcie rozmowy było niespodziewaniem; bąknął więc tylko:

— Tak, to prawda, Rozalia była piękną i w rozmowie jest dość przyjemną.

— Cóż tak obojętnie o tem mówisz? No, przyznaj się, że żyjąc z taką kobietą pod jednym dachem, od rana do wieczora, na wsi... niepodobna, aby tam czegoś... tak niby... nie było pomiędzy wami!

Zenon stanął jak wryty, z oczyma szeroko otwartymi. Po chwili osłupienia przemówił:

— Co? pomiędzy mną a Rozalią? Ależ to siostra mojej żony!...

— No, tak, tak, zapewne, — uśmiechał się wciąż Wiktor — ale na świecie bywają różne rzeczy. Zdarzają się i takie... czy tylko takie! Myślałem, że jesteś dawnym Zeńkiem, pełnym fantazyi i trochę szalonym.

Zenon ochłonął już ze zdumienia i spokojnie mówić zaczął:

— Życie jest doskonałym lekarzem od fantazyi i szalów. Ale i w tych czasach, o których wspominasz, jakkolwiek szalony, nie miałem pociągu do rzeczy szpetnych fizycznie czy moralnie... To zaś, co przypuszczałeś, byłoby ze wszech względów ogromnie szpetnem...

— Zapewne, zapewne, — potwierdził Wiktor — ale bywają pokusy, którym niekiedy człowiek najuczciwszy oprzeć się nie może...

— Mogę cię upewnić, że w tym wypadku nie doświadczałem nawet pokus żadnych. Rozalia nie jest ulubionym moim typem kobiecym...

Starał się mówić tonem żartobliwym, ale z przykrością niewymowną myślał:

— O czem-że to my rozmawiamy!

Wiktor zaś ta rozmowa interesowała.

— Nie jest twoim ulubionym typem — powtórzył. — A jakież ty masz typ ulubiony? Aha, blondynki! Twoja żona jest blondynką! Bardzo miła osoba; tylko że wygląda na flegmatyczkę. Musi mieć temperament ogromnie limfatyczny. Te blondynki to tak: albo ogień, albo woda. Jednak przypominam sobie, że ten twój ideał monachijski, za którym tak szalałeś, i który cię tak haniebnie wystrychnął na dudka, był brunetką ognistą. Prawda? co?

— Już nie pamiętam — odrzekł Zenon zcicha, bo z przykrością coraz dolegliwszą myślał: „O czem-że to rozmawiamy!” Stanął i szerokim gestem ukazując bratu przestrzeń otaczającą, rzekł:

— Spójrz, Wiktorze. Popatrz trochę na dzieło rąk moich!

Stare aleje i klomby z krzewów ozdobne, malownicze, trawnikami i ścieżkami otoczone, przeszli już i minęli. Na Wiktorze nie sprawiły one wrażenia żadnego. Możeby sprawiły, gdyby na nie patrzył, ale rozmawiając, żartując, zaglądając wesoło w twarz brata, nie patrzył. Teraz znajdowali się w środku ogrodu owocowego, zajmującego spory kawał gruntu. Mnóstwo tam było drzew, z których nie zdjęto jeszcze owoców zimowych, któ-

rych gałęzie gięły się pod ciężarem jabłek, czerwonych jak rubiny, grusz złotawych, śliw fioletowych. Zenon rozpromieniony uciechą serdeczną mówił:

— Od otrzymania twego listu marzyłem o chwili, w której ci to pokażę. Drobną rzecz, ale taka moja! Pamiętasz, jakie tu było zestarzenie i zdziczenie przed osiemnastu laty? Biedny ojciec nie miał już w ostatnich latach energii, ani ochoty do pielęgnowania ziemi. Ziemię zaś, mój drogi, trzeba nie tylko uprawiać, ale i pielęgnować, jak matkę, aby nie podupadła na siłach, i jak dziecko, aby w nie wzrastała, a jeżeli chcesz, nawet jak siostrę, aby stawała się coraz piękniejszą. Bo ziemię, mój drogi, można uczynić nie tylko urodzajną, ale także piękną, i może być ona nie tylko żywicielką, ale i pocieszycielką. Widzisz ten duży kawał ziemi, zarosły suszyzną i chwastami? Był on nie tylko bezużytecznym, ale brzydkim, smutnym. Teraz co? Wszystko tu siałem i sadziłem sam, z pomocą tylko niedorosłych robotników, bo na większą ich ilość i na ogrodnika nie miałem pieniędzy. Nie znałem się też na ogrodnictwie: musiałem się go wyuczyć! Zaczytywałem się w książkach ogrodniczych, zasięgałem rad kilku sąsiadów doświadczonych. No, i zrobiłem, mam. Popatrz tylko. Z jednej strony przynosi to korzyść znaczną, a z drugiej, ile tu barw, linii, półświatel, półtonów! To obraz wymalowany przeze mnie, zamiast na płótnie, na łonie ziemi, która wydała mnie na świat. Jak mogę, tak wywdzięczam się jej za życie...

Mówiąc to wszystko, ulegał metamorfozie<sup>11</sup> stopniowej. Wyprostował plecy, zmarszczki zniknęły mu z twarzy prawie zupełnie, oczy rozbłysły entuzjazmem<sup>12</sup> młodzieńczym. Wiktor przypatrywał się pięknemu ogrodowi, a gdy Zenon umilkł, rzekł:

— Tak, tak, bardzo piękny sad owocowy. Ile przynosi?

Zenon wymienił sumę dość znaczną i uszczęśliwiony, wsunął rękę pod ramię brata.

— Ale nie zauważyłeś moich gaików i malutkich dywanów kwiatowych. Choć to już późno, ale są jeszcze piękne, w tej porze roku może jeszcze piękniejsze niż latem. Cudne są te nasze jesienie! Chodź, zobacz, jakie mam pyszne sumaki. Sadziłem je razem z wierzbami srebrnymi, i teraz to tworzy efekt szczególny: na tle krwistem, potoki roztopionego srebra!

Drogami, krzyżującymi się pośród drzew owocowych, prowadził brata do części ogrodu, otaczającej dom, na którą przedtem nie zwrócił on był uwagi. Wiktor szedł chętnie i mówił wesoło:

— Zawsze byłeś i pozostałeś poetą. Mówisz o ogrodzie, jak o kochance. Ale nie dziwię się wcale. Praca swoja każdemu miła. Ja mam teraz przed sobą taką, do której się aż palę. Wyobraź sobie, że idzie o zmianę systemu w całej ogromnej gałęzi fabrykacji państwowej. Czy znasz się choć trochę na mechanizmie gorzelnianym? Nie? to posłuchaj. Zaraz wytłumaczę ci, o co chodzi.

Zaczął tłumaczyć. Mówił o przeznaczeniu i konstrukcji różnych maszyn i aparatów mechanicznych, o naturze kruszców, z których bywają sporządzane, o sposobach, siłę, stopniach siły, którymi działają na powierzone im materye różne działacze natury: woda, para, ciepłik, tarcie i t. p. Był to cały wykład mechaniki, z mnóstwem komentarzy<sup>13</sup> zaczerpniętych z fizyki, chemii, mineralogii. Mówiąc o tem wszystkim, Wiktor Hornicz stał się człowiekiem poważnym, i nie tylko poważnym, ale nawet pełnym wiedzy i zapału. Posiadał znajomość ogromną przedmiotu, o którym mówił, i nie mniejsze w nim zamiłowanie. Mówił z łatwością wielką i tak nieustannie, że byłoby niepodobna wtrącić mu w mowę choćby jedno słowo. Ale Zenon nie myślał przerywać mu mowy żadnym słowem, bo w tym potoku słów i obrazów technicznych<sup>14</sup> większości nie rozumiał, a inne, choć zrozumiałe, nie wiązały się mu w umyśle w żaden sens jasny. Naturalnie, mechaniki nie studiował nigdy i miał o niej wyobrażenie zaledwie elementarne. Raz pomyślał: „Jaki on dziwny! Przecież musi wiedzieć, że nikt nie może bez długiego przygotowania rozumieć takich rzeczy, ani o nich rozmawiać!” Ale Wiktor nie zwracał uwagi najmniejszej na rozpaczliwą niekompetencją<sup>15</sup> słuchacza. Z przyjemnością człowieka, który wpadł na ulubiony sobie temat, mówił i mówił o systemach fabrykacji gorzelnianych, takich, jakie były, są, będą i być powinny w najróżniejszych krajach europejskich. Mówiąc, trzymał brata pod rękę i chodził z nim po alejach starych, pełnych wspomnień wspólnego ich

<sup>11</sup>ulegał metamorfozie — przemianie. [przypis autorski]

<sup>12</sup>entuzjazm — zapał. [przypis autorski]

<sup>13</sup>komentarz — objaśnienie. [przypis autorski]

<sup>14</sup>obrazów technicznych — specjalnych. [przypis autorski]

<sup>15</sup>niekompetencja — nieznanostwo rzeczy. [przypis autorski]

dzieciństwa, dokoła klombów, będących rozkoszą i dumą ich twórcy, o niczem wcale nie wspominając i na nic nie patrząc. Zenona to chodzenie bezmyślne z alei w aleję, ze ścieżki na ścieżkę, i to słuchanie o rzeczach prawie niezrozumiałych zaczęło nużyć i nudzić. Poraz pierwszy przerwał mowę bratu:

— Usiądźmy. Możesz mówić, a ja mogę słuchać zarówno dobrze, jak chodząc.

Naturalnie chodzili tylko dlatego, aby obejrzeć razem piękny ogród, skoro go zaś nie oglądali... Przytem ławka, na którą Zenon zaprosił brata, stała w miejscu tak pełnym wdzięku i malowniczości, że chyba już teraz Wiktor je zauważy i przestanie mówić o swoich maszynach. Rosły tam właśnie owe sławne sumaki czerwone i wierzby srebrne, kwitły na trawniku wielkie krzaki floksów liliowych i śnieżnych; przez otwór, umyślnie uczyniony pomiędzy drzewami, widać było szlak łąki za ogrodem, cały w złocie zachodzącego słońca. Spojrzenie Wiktora wypadkiem padło na ten kawałek łąki.

— A! — zawołał — toż to ta sam<sup>16</sup> łąka, po której ty i ja, małymi chłopcami, hasaliśmy boso po rosie. Ale tylko w lecie można było to robić. Na wiosnę i w jesieni była bardzo błotnistą. Jak teraz wybornie można osuszać błota choćby największe! Czy wiesz, jakimi sposobami osuszono blisko połowę błot poleskich?

Jak przedtem o fabrykacji gorzelnianej, tak teraz opowiadać zaczął o osuszaniu gruntów mokrych, przyczem rolę ogromną odgrywała hydraulika<sup>17</sup>, będąca właśnie najulubieńszym przedmiotem jego studyów. Przed kilku laty dokonał był w tej dziedzinie pewnego odkrycia, pozwalającego na używanie jakiejś kombinacji działań, przedtem poczytywanej za niemożliwą. Opowiedział teraz bratu o odkryciu ze szczegółami najdrobniejszymi, a Zenon, w połowie tylko rzecz rozumiejąc, słuchał go przecież z oczyma rozbłyśniętymi od zajęcia i radości. Powodzenie brata i chwala, którą się okrył, cieszyły go ogromnie. Wkońcu rzekł zcicha:

— Tak, to prawda! cóż znaczy praca moja, mała, mrówcza, wobec tych, których ty dokonywałeś! Dla mnie jednak jest to jedyną pociechą, gdy pomyślę...

Wiktor przerwał mu z ożywieniem wielkiem:

— Naturalnie, mój drogi! Żyjemy w epoce wielkiej nauki i wielkiego przemysłu...

Zaczął mówić wiele i bardzo rozumnie o tem, jak nauka wspiera i rozszerza przemysł, a przemysł ułatwia i przyozdabia życie ludzkie, odkrywając coraz nowe źródła zarobków, wygod i użycia wszechstronnego.

Zmrok opuszczać się zaczął na sumaki i wierzby, na trawniki, floksy i szlak łąki za ogrodem, gdy nadbiegła Anielka i cała w rumieńcach, drżącym głosikiem oznajmiła, że: „Mama prosi na herbatę”.

Przy stole wyelegantowanym, zastawionym, ozdobionym kwiatami, Rozalia rzekła do gościa:

— Zenon musiał chwalić się przed panem swoim ogrodem. Jest on rzeczywiście dziełem rąk jego, dziełem, które się dobrze udało.

— Tak, tak, — potwierdził gość — śliczny ogród, tylko że ja wogóle nie posiadam daru zachwycania się... zieleniną!

— Pracując tak wiele i nad rzeczami tak ważnymi, nie miał pan pewnie czasu przypatrywać się naturze — grzecznie zauważyła Rozalia.

Gość zaprzeczył.

— Ej, nie, owszem, bywałem nieraz na wsi i za granicą w miejscowościach sławnych z piękności. Ale jakoś nie mam już tego zmysłu. Wzgórek, trawka i źródelko: oto dla mnie i cała natura. Większe, mniejsze, ale zawsze to samo: wzgórek, trawka i źródelko...

— Czy i morze wydaje ci się źródelkiem? — zapytał Zenon.

— Nudne! — zawołał Wiktor — ach, mój kochany, jaka to nudna rzecz to morze! Bywałem nieraz nad jego brzegami, pływałem po niem. Powiadam ci, że gdyby na parowcach nie było z kim grać w winta i czasem nie istniały anioły, w postaci dam ładnych i miłych, możnaby umrzeć z nudy. W dekoracjach teatralnych robi to wrażenie duże, ale w przyrodzie — woda, woda i woda! Co jest prawdziwie pięknem i zdumiewającym, to telegrafy podmorskie...

<sup>16</sup>sama. [przypis redakcyjny]

<sup>17</sup>hydraulika — nauka o zastosowaniu siły wody i jej ruchu. [przypis autorski]

— Że są zdumiewające, na to zgoda — z trochę zniecierpliwienia przerwał Zenon — że bardzo pożyteczne, to także niezawodne, ale aby telegrafy jakiegokolwiek mogły być pięknymi...

— Są nietylko piękne, lecz wprost cudowne! — zawołał Wiktor. — Nauka i przemysł dokonały w tym dziale cudu prawdziwego...

Zwróciwszy się do pań, zaczął wyklądać im sposób urządzenia telegrafów podmorskich płynnie, obszernie i dość dostępnie. Na twarzy Sabiny, która prawie nic z mowy jego nie rozumiała, malował się jednak podziw nad mądrością szwagra; Rozalia słuchała z zajęciem, rozumiała wiele, choć nie wszystko, i była coraz widoczniej zachwycona gościem. Zenon nie promieniał już z uciechy i nie patrzył bratu w oczy, tak jak przy obiedzie, niemniej widać było, że cieszy się jego obecnością, uczonością, wesołością i tylko czasem markotniał, spuszczał powieki, i widać było, że odbiegał myślą od telegrafów podmorskich.

Po herbacie w bawialnym pokoju Wiktor zbliżył się do fortepianu.

— Pani jest muzykalną? — zapytał Rozalię.

Była muzykalna. Grywała wiele i z zamiłowaniem. Teraz także zasiadła do fortepianu. Wiktor usiadł przy niej i z głową opartą na rękę słuchał. Zenon przypatrywał się mu z kanapki, stojącej w kącie pokoju, i wydało mu się parę razy, że brat udaje pilnego słuchacza, a myśli wcale o czym innym, niż o muzyce. Dla niego talent muzyczny Rozalii był nieraz i przyjemnością wielką i smutkiem; bo ta osoba samowolna i niestała nie grywała wcale podówczas, gdy on potrzebował tego najwięcej, ale tylko wtedy, gdy sama grać chciała.

Czasem spędzał przy jej muzyce szare godziny, pełne uroku smętnego i myśli uciekających w kraje ideałów; ale daleko częściej, wtedy właśnie, gdy jego najmocniej gryzła nuda życia samotnego i kłopotliwego, i Rozalia była w złym humorze i za nic nie usiadłaby do fortepianu właśnie dlatego, aby nie okazać mu przez to swej życzliwości. Biedna Sabinka grywała niegdyś słabiutko, lubo dość wdzięcznie, ale już oddawna poszło to u niej w zaniedbanie najzupełniejsze.

Teraz Zenon czuł trochę gniewu przeciw Rozalii za to, że długim graniem swoim zabierała mu brata, i z niejaką niecierpliwością oczekiwał końca muzyki; ale gdy Rozalia po długim graniu wstała od fortepianu, Wiktor wstał także, i zaczęli chodzić po pokoju, rozmawiając z ożywieniem o kilku operach, które on widywał na wielkich scenach europejskich, a o których Rozalia, chociaż ich nie widziała nigdy, umiała zręcznie mówić i decydować. Byli nawzajem bardzo zajęci sobą, i Wiktor raz tylko zwrócił się do brata, siedzącego na kanapie, w kącie pokoju.

— Byłeś na „Aidzie”, prawda? Pamiętasz scenę zbierania się nad morzem ludu, kapłanów i bożków egipskich?

Zenon parsknął śmiechem.

— Mój drogi, jakimże sposobem mógłbym »Aidę« znać ze sceny? Przecież od lat osiemnastu nie byłem w żadnym wielkim mieście...

— To szkoda! — rzucił Wiktor i, wracając do przechadzki z Rozalią, zaczął opowiadać zdarzenia i anegdoty z życia różnych śpiewaków i śpiewaczek.

Zenon, patrząc na przechadzającą się parę, myślał:

— Ależ on naprawdę zajmuje się Rozalią! Może się z nią ożeni? Kto wie? Są dla siebie stosowni wiekiem...

Rozalia nie była wcale zalotną i nie miała staropanieńskiej śmieszności upatrywania w każdym mężczyźnie wielbiciela lub konkurenta; jednak zajęcie się nią gościem widoczne i coraz żywsze mogło jej pochlebiać i nawet nasuwać przypuszczenie pewnego rodzaju. Stawała się coraz weselszą, mówniejszą, aż przy końcu wieczora Wiktor przysiadł się do Sabiny i dokonał tego prawdziwego cudu, że ją także rozweselił i do mówienia skłonił. Zaczęła trwożliwie i z wahaniem się, potem rozgadała się o dzieciach, o domu, o swoim sposobie przepędzania czasu, prawie rozszczebiotała się, ożywiona ogromnie, często przez dowcipy i zapytania szwagra rozśmieszana. Ponieważ zaś i Rozalia brała niemały udział w tej gawędce poufalej, pustej, żartobliwej, więc wszyscy troje, siedząc przy stole z lampą i starymi albumami, bawili się wybornie.

Godzina była dość późna, kiedy Zenon wstał z kanapki, stojącej w kącie pokoju.

— Może już potrzebujesz odpocząć po drodze? — rzekł, zbliżając się do brata.



Wiktor zgodził się chętnie, mówiąc, że istotnie czuje się trochę zmęczonym podróżą; wesoło ucałował ręce bratowej, a życząc Rozalii dobrej nocy, znacząco w oczy jej popatrzył.

Po kilku minutach bracia znaleźli się sam na sam w pokoiku na górze, czystym, wesołym, przystrojonym firankami świeżutkiemi i wielkim bukietem z floksów różnobarwnych, stojącym na stole obok kilku książek i dzienników. Zenon upatrywał znowu na twarzy brata wrażenia, które pokój ten na nim sprawi. W nim-to przecież za czasów szkolnych mieszkali we dwóch, spędzając w domu wakacje; w nim także po śmierci ojca, gdy zwłoki zmarłego stały na dole w pokoju najparadniejszym, spędzili parę nocy na cichych rozmowach o stracie poniesionej i różnych swoich smutkach i nadziejach. Tu Zenon zwierzał się przed starszym bratem z zawodu serdecznego, który go spotkał od kobiety ubóstwionej, a Wiktor opowiadał mu o pożyciu szczęśliwym z tą, którą niedawno był poślubił. Nie był jeszcze wówczas bogatym, nie miał ani takiego znaczenia, ani pewności siebie; doświadczał obok szczęścia domowego wielu trosk i niepewności. Ileż dni upłynęło od onych nocy przerozmawianych z bratem! Ile zmian zaszło w położeniu i usposobieniu ich obu! Jakiem nagle, rzewnem przypomnieniem godzin życia porannych i przedpołudniowych uderzy mu serce na widok tego pokoju!

Lampę znaleźli już zapaloną; na krześle przy stole stała zamknięta skrzynka podróżna, do której Wiktor zbliżył się wprost ode drzwi i, otwierając ją, plecami do brata odwrócony, półgłosem mówić zaczął:

— Powiedz mi, Zenku, dlaczego ta wasza Rozalia nie wyszła za mąż? Taka pyszna kobieta! Czy nikt się nie poznał na niej, czy zanadto przebiegała, albo może jakie małe nieszczęście, co?

Przy ostatnich wyrazach odwrócił twarz ku bratu i, filuternie mrugnawszy, zaczął wydobywać ze skrzyki tualetowe przybory i drobiazgi.

Zenon przez chwilę nie odpowiadał. Spuścił powieki, brwi ściągnęły się mu posępnie. Nakoniec, siadając na krześle, umieszczonem przy stole, odpowiedział:

— Nieszczęście było istotnie, ale nie takie, jak przypuszczasz. Przed dwunastu laty Rozalia miała narzeczonego, który na krótko przed dniem na ślub naznaczonym prawie nagle umarł. Była po nim w rozpacz i, chociaż zdarzyły się jej potem partye odpowiednie, za mąż iść nie chciała.

— Głupia! — zawołał Wiktor i, wyprostowawszy się z nad skrzynki, zaczął wy dobytych z niej grzebieniem przyczesywać sobie wąsy i krótko przystrzyżone włosy. — A wydaje się taką rozsądną, nawet rozumną! Zostać starą panną dlatego, że jakiś tam naręczony, Bóg wie, tam kiedy umarł! Chodź to jeszcze po świecie takie sentymenty i romanse! Ale czyż to naprawdę przyczyna rzeczywista? a? powiedz prawdę?

— Mogę upewnić cię słowem honoru, że jest to przyczyna rzeczywista i jedyna pozostała Rozalii niezamężną. Wyznam ci też, że ta stałość uczucia, którego grób nie zabił, podnosiła ją zawsze w oczach moich.

— Może to i bardzo wzniosłe, ale niepraktyczne — odparł Wiktor. — I cóż dobrego wyniknęło z tej stałości? Umarłego przez nią nie wskrzesiła, a sama, zamiast uszczęśliwić jakiego żyjącego śmiertelnika, więdnie w staropanieńskim stanie. To jest wielka niepraktyczność, a co niepraktyczne, to i na dyabła zda się. Szkoda kobiety! Lepszego losu warta!

Na twarzy Zenona rozlewał się uśmiech ironiczny.

— Uważam, że zajęła cię bardzo żywo. Jesteś w możności poprawienia jej losu, nad którym tak ubolewasz. Spróbuj, może już zapomniała, może uda ci się zasłonić przed nią cień z tamtego świata.

Wiktor, który w przywdzianym przed chwilą szlafroku eleganckim i kosztownym, czyścił sobie paznokcie jakimś polyskującym narzędziem, podniósł na brata oczy pełne zdziwienia.

— Ja? — zawołał — ależ ja jestem już prowincją zabraną, podbitą, na wieki wieków oddaną w posiadanie najpiękniejszej w świecie rączki. Mam narzeczoną, mój drogi! Zjadę się z nią teraz w Wiedniu, tam ślub weźmiemy i będziemy już razem odbywali dalszą podróż. Wybornie się złożyło, uważasz? Bo podróż poślubną zawsze potrzeba byłoby odbyć, więc ją odbęde, ale jednocześnie z obowiązkową, w którą zwierzchność mnie wysła. Chcesz może wiedzieć, jak wygląda naręczona moja? Oto masz jej portret, bardzo podobny. Śliczna, prawda?

Zenon patrzył długo na dużą fotografię, podaną mu przez brata, z której uśmiechała się twarz kobiety może trzydziestoletniej, śliczna istotnie, rozumna, pełna wdzięku i słodczy. Patrzył długo, bo czar wielki bił ku niemu z jej oczu mądrych i dobrych, z uśmiechu zamyślonego, z bogactwa włosów, upiętych malowniczo nad czołem otwartym i szlachetnym. Po kilku minutach zaledwie oddając bratu fotografię, rzekł:

— Szczęśliwy jesteś, Wiktorze. Przeżyjesz po raz drugi ten poemat życia. Ja, który nie przeżyłem żadnego...

— Tak, tak, — przerwał mu Wiktor — małżeństwo z tą kobietą można rzeczywiście nazwać poematem...

I usiadłszy obok brata, zaczął mu obszernie rozpowiadać wdzięki i zalety narzeczonej. Nie skąpił szczegółów; kobietę kochaną rozbierał, poprostu, przed słuchaczem, zarówno fizycznie jak moralnie. Rozgrzał się i uniósł do tego stopnia, że wyrażenia poetyczne albo namiętne wplatały się mu w mowę. Dostał silnego blasku w oczach i rumieńców na policzkach. Mówił długo, powiedział nazwisko narzeczonej. Była to młoda wdowa, która pierwszego męża nie kochała; miała majątek, co nigdy niczemu nie przeszkadza; różnica wieku jest trochę za dużą, ale nie budzi to w nim obawy najmniejszej, bo najpierw czuje się sam zdrowym, silnym i jeszcze młodym, a potem wie dobrze, kogo bierze i jak zupełnie polegać może na prawości, szlachetności i przywiązaniu do niego tej kobiety.

Zenon słuchał tych zwierzeń z oczyma przysłoniętymi dłońmi, jakby olśniony rozczarowanym przed nim obrazem wielkiego szczęścia. Kiedy nakoniec Wiktor umilkł, odsłonił oczy i rzekł głosem nieco stłumionym:

— Czego najwięcej wieszuję ci, Wiktorze, to tego, że będziesz z żoną na jednym poziomie umysłowym. Mógłbym, chciałbym nawet opowiedzieć ci, jak dalece rozdział myśli i upodobań wpływa przytłumiająco na stronę uczuciową...

— Ależ Amelia jest bardzo, bardzo wykształcona! — z żywością przerwał Wiktor — wiele czyta, posiada parę ładnych talentów, w towarzystwie bywa prawdziwie świetną. Innejbym nie wziął. Wziąć za towarzyszkę wiekuiastą gęś albo kurkę, dziękuję! Nuda w domu i wstyd przed ludźmi...

Znowu mówił o zaletach umysłowych i towarzyskich przyszłej żony dość długo; ale był to już monolog całkowity, bo Zenon po dwukrotnie nieudanej próbie „otwierania duszy” przed bratem, zamknął ją i milczał jak ściana. Ale i wymowa Wiktora słabła, ustawała, parę razy zamrugał powiekami, jak człowiek, walczący z wielką ochotą do snu.

Zenon spojrzął na zegarek.

— Pora ci już zasnąć po podróży. Dobrej nocy.

Podał rękę bratu i chciał tylko ją uścisnąć, ale Wiktor przyciągnął go do siebie i kilka razy w policzki ucałował.

— Rad jestem, — rzekł z wylaniem — niewymownie rad jestem, że widzę cię zdrowym, zadowolonym, szczęśliwym, że ci się dobrze dzieje! Dobrej nocy, mój drogi! Dobrej nocy!

Powieki nieprzewyciężenie opadały mu na oczy. Widać było, że gdy tylko dotknie głową poduszki, spać będzie, jak zabity. Natomiast praca zawodowa, gorliwa i kłopotliwa, przyzwyczała go do wstawania rannego.

Zenon zastał go nazajutrz o dość wczesnej godzinie nietylko już ubranego, lecz zajętego pisaniem listów. W szlafroku eleganckim, przed piękną teką, pełną papierów i kopert różnego gatunku, siedział pogrążony w pisaniu tak dalece, że wejścia brata zrazu nie zauważył, a gdy po kilku minutach spostrzegł jego obecność, prawie nie patrząc na niego, rzekł krótko:

— Dzień dobry, Zeńku. Każ, mój drogi, przynieść mi tu herbatę, bo mam na parę godzin jeszcze tego pisania. Gdy tylko skończę, zbiegnę tam do was na dół...

Po kilku minutach Filipek szedł na górę z tacą, obciążoną wszelkimi przysmakami, jakie tylko towarzyszyć mogą na wsi herbacie rannej, a za nim, aż do drzwi pokoju szwagra, biegła Sabina, strzegąc, aby czegokolwiek po drodze nie uronił, albo nie stukł. Zenon chodził około stodoły i obory; rozmawiał z gumiennym i parobkami, kiedy zbliżył się do niego Pawełek i zaczął mówić o jakimś szczególe gospodarskim. Szło o parę koni fornalskich, z których jeden okaleczał, więc nie będzie można przez czas jakiś wysłać go w pole z plugiem, a tu orka pod zasiew wiosenny jeszcze daleka jest do końca. Kłopot. Co tu robić! Jak opóźnieniu się orki zapobiedz? Czy posłać po weterynarza, aby obejrzał

chorego konia? Czy to jego okaleczenie jest lub nie jest winą parobka, który zazwyczaj tą parą pracował?

Zgryziony niepowodzeniem gospodarskim, a więcej jeszcze rozdrażniony czemś tajemnym i dla niego samego niezupełnie jasnym, Zenon odpowiadał zrazu Pawełkowi trochę szorstko i niecierpliwie; potem jednak zauważył, że chłopak był mizerny, smutny, wzroku jego unikał, i żal mu się go zrobiło. Złagodniał, zaczął mówić tonem poufałym i przyjacielskim; nakoniec z ręką położoną na ramieniu wychowańca zapytał:

— Co ci jest? — Nigdy jeszcze nie widziałem cię tak bladym i mizernym. Może czujesz się niezdrawym, w takim razie nie jedź dziś w pole, odpocznij...

Nie skończył jeszcze słów tych, kiedy Pawełek zdjął jego rękę ze swego ramienia i zaczął całować ją gorąco po wiele razy. Przytem lzy kręciły mu się w oczach.

— Zdrow jestem i zaraz w pole pojedę. Jabym dla pana pojechał na koniec świata...

Odwrócił się żywo, odbiegł i po kilku minutach cwałował już na koniu do oraczy, których roboty miał doglądać. Zenon wyszedł też za bramę i udał się do bliźkiego lasu, skąd zaczęto dziś wozić drzewo do dworu na opał zimowy. Trzeba odjąć stamtąd parę koni i wysłać ją z pługiem w zamianę tej, która na czas jakiś stała się nieużyteczną. Idąc myślał:

— Gdyby wszystkie puste słowa ludzkie zajmowały w przestrzeni tyle miejsca, ile go zajmują w czasie, zepchnęłyby ludzkość z kuli ziemskiej. Pojechałby dla mnie na koniec świata! Pojedzie istotnie na koniec świata, ale dla pieniędzy. Kosztuje go to jednak widocznie, bo aż zmizerniał przez te dni parę. Ale ba! czy to tylko jest przyczyną tego zmizernienia? Może, prosto, niezdrów.

Potem opanowały go myśli wcale inne. Wczoraj o tej porze jechał po brała na stacyę kolei. Oto już i upłynęła doba jedna; upłynie zaraz druga i uniesie z sobą to, czem się tak cieszył, czego tak gorączkowo oczekiwał. Miał zamiar zaprowadzić Wiktora do tego lasu, ku któremu zbliżał się teraz, aby pokazać mu swoją szkółkę zasianych sosen, które udały się ślicznie i gęstą szczytką okrywały kilka morgów gruntu. Są tam zresztą w tym lesie ścieżki ciekawe, po których często chodzi sam jeden. Chciał przejść się po nich z bratem. Cóż kiedy Wiktor prawie cały ranek musi poświęcić pisaniu listów! Człowiek zajęty, bardzo zajęty! Zresztą nie lubi... zieleniny!

W parę godzin potem, wracając z lasu, Zenon usłyszał wesołe głosy i śmiechy, które rozlegały się w stronie sadu owocowego. Poszedł śpiesznie w tym kierunku i zobaczył scenę niezmiernie ożywioną i wesołą. Niedorosły ogrodniczek siedział na dużej śliwie i, wstrząsając drzewem, zrzucił z niego grad owoców, które trzy osoby dorosłe i dwoje dzieci podnosiło i składało w kosze, z bieganiem, gonitwami, śmiechem i rozmowami, przez śmiech przerywanymi. Wesołe to grono osób było także wystrojonem. Zenon już nie pamiętał, kiedy widział żonę tak starannie ubraną i uczesaną; miała nawet pasek kolorowy dokoła wątlej kibici i jakąś zalotną kokardę w jasnych włosach. Na czarnej sukni Rozalii połyskiwały ozdoby dżetowe. Anielka, cała w bieli, i Kazio w kostymie marynarskim wyglądali na królewięta w porównaniu z codziennym swoim wyglądem. Ale z pomiędzy wszystkich Wiktor był najświetniejszy. Zmuszony wczoraj do pozostania w ubraniu podróżnym i okurzonym, dziś ustroił się *à quatre épingles*,<sup>18</sup> w sukno czarne i cienkie, w przód koszuli olśniewającej białością, w srebrny znak inżynierski u kłapy surduta. Przytem ilekroć wbiegał w pas światła słonecznego, rozniecały się na jego osobie dwa małe ogniska blasków tęczowych: jedno pod szyją, drugie na małym palcu lewej ręki. Były to brylanty, tkwiące w śpilce od krawata i w pierścionku, zapewne zaręczynowym.

Powietrze było przejrzyste, jak kryształ, nieruchome i bladozłote; pasy światła słonecznego i pasy cieniów nierówne, postrzępione, kładły się na trawę, usianą opadłami z drzew liśćmi czerwonymi, brunatnymi i żółtymi. Pomiędzy te liście, szeleszczące przy każdym dotknięciu, spadały gradem ze wstrząsanego drzewa śliwki węgierki, dojrzałe, fioletowe, ze złotymi kropkami wosku i z liliowym puszkciem.

Spadały nietylko na trawę i liście suche, ale też często na plecy i głowy osób, które dokoła drzewa biegały i co chwila to pochylały się, to wyprostowywały. Wywoływało to za każdym razem chwytnie się za głowy i ramiona, ucieczki, śmiechy.

<sup>18</sup>*à quatre épingles* — dosłownie: na 4 śpilki, — znaczy, że nic w stroju nie brakło do elegancji. [przypis autorski]

Śmiech Sabiny brzmiał najcieniej, Rozalii najciszej, Wiktora i dzieci najgłośniej i najswobodniej. Zenon, którego zbliżenia się nikt nie zauważył, usiadł o kilkanaście kroków na małej ławce i, patrząc na brata, myślał, że taka wesołość, jak jego, jest przymiotem bardzo cennym, darem prawie cudownym, który nawet kurczątko skurczone i lękliwe przerabia na wiewiórki płochę i skaczące, a posępne chmury przemienia w motyle. On, Zenon, chciałby bardzo być równie wesołym, ale nie może; chciałby bardzo biegać, śmiać się, podnosić śliwki i, zamiast do kosza, rzucać je pokryjomu na plecy kobiet i dzieci, a zagrożony ich zemstą, uciekać, zasłaniając się rękoma, połyskującymi ogniskiem światła tęczowych. Nie może. Z uśmiechem przypatruje się zabawie, ale nie może wziąć w niej udziału. Czuje się jakoś ciężkim. Co to takiego przygarbia mu plecy i przykuwa do ziemi stopy? Przecież nie starość! Wiktor jest od niego starszy o całe cztery lata. Różnica temperamentu, różnica umysłu. Po chwili pomyślał: różnica losu. Wszystkie te trzy różnice istniały niezawodnie, i sam nie wiedział, która była najważniejsza. Dość, że były i wszystkie przemawiały na korzyść Wiktora, a na niekorzyść jego. Tam było zdrowie ciała i ducha, trzeźwość, energia, miła wesołość, ośmielająca najtrwożliwszych, rozchmurzająca najposępniejszych; tu — myśli ciemne i uczucia wiecznie nienasycone, które z głodu gryzły tajemnie serce, chore na tęsknotę za niepodobieństwem, — na marzenia nieziszczalne, — na wątplenia o wartości wszystkiego, na świecie i swojej własnej. Jednym słowem: niedołęstwo. Tam dzielność, tu niedołęstwo. Tak myśląc, Zenon uczuł się wobec świetnego brata swego niezmiernie małym i marnym.

Zabawa dokoła drzewa śliwowego trwała długo, potem przeniosła się pod gruszę, której owoców nie można było otrząsać, tylko trzeba było zdejmować za pomocą przyrządów odpowiednich. Wiktor natychmiast uzbroił się w długą tykę, z haczykiem i siatką u końca; chodząc dokoła drzewa, upatrywał na niem najpiękniejsze bonkrety i z ostrożnościami, które znowu rozśmiały kobiety i dzieci, zdejmował je z gałęzi. Przytem jednak zajęciu, mniej ruchliwem, niż poprzedzające, spostrzegł wkrótce Zenona i wnet do niego przybiegł.

— Wróciłeś już od gospodarstwa! Jakże się masz? Czy dawno tu siedzisz?

Siadł na ławce obok brata. Kobiety, dzieci i ogrodniczek z koszami owoców poszli w głąb ogrodu, w kierunku domu. Wiktor chustką woniejącą ocierając pot z czoła, z uniesieniem mówić zaczął:

— Co to za miła rzecz — wieś! Świeże powietrze, ruch, swoboda, taka obfitość wszystkiego...

— Nie lubiąc „zieleniny”, jakże możesz lubić wieś? — uśmiechnął się Zenon.

— Na krótko też, mój drogi, na krótko ją lubię. Ile razy wpadłem na wieś na kilka dni, na parę tygodni, zawsze bawiłem się, jak dziecko, i byłem zachwycony. Ale żeby tak rok cały, to nie! Nie mógłbym za nic żyć bez towarzystwa, muzyki, teatru, wszystkich tych zresztą wrażeń, które tylko miasta dawać mogą...

Obrócił się twarzą do brata.

— Ale ty, szczęśliwy człowiecze, żyjesz tu sobie, jak w raj. Taka śliczna wieś, takie miłe kobiety, ładne dzieci... w czepku się urodziłeś...

Zenon z wolna odpowiedział:

— Dlaczegoż myślisz, że to, bez czego ty nie mógłbyś wyżyć, nie jest także dla mnie pożądanem? I czy wyobrażasz sobie, że dom jakikolwiek tak samo wygląda na codzień, jak w święto dla gości?

— Wszystko tu, mój kochany, wygląda zachwycająco, i gdybym był na twojem miejscu, czułbym się najszczęśliwszym z ludzi. Chociaż i na to, co mnie spotyka, wyrzekać nie mogę... Powodzi mi się w służbie, w interesach i... jeszcze w czemś bardzo ważnym!... Zgadnij, ile mam kapitału?

— Nie zgadnę. Powiedz sam.

Powiedział sumę znaczną i zaraz opowiadać zaczął o dwóch aferach, które przyniosły mu zyski największe. Było to w związku z budowaniem kolei żelaznych i gmachów publicznych, znowu więc pociągnęło za sobą wykład rzeczy technicznych obszerny i szczegółowy. Znowu jeden z braci mówił długo, płynnie, z takim zapalem, z jakim zazwyczaj człowiek mówi o rzeczach, które przyniosły mu chlubę i korzyść; drugi słuchał i milczał.

Kiedy Wiktor przestał na chwilę mówić, Zenon zaczął:

— Co do moich interesów majątkowych, nie mogę powiedzieć, aby stan ich był oplakany, ale trzeba wielkiej pilności i ostrożności...

— Naturalnie, — wpadł mu w mowę brat — jakże może być oplakany! Zapolanka jest wsią ładną, a wy tu macie potrzeby tak ograniczone. Na szerokim świecie jest wcale co innego. Gdybyś wiedział, jaki teraz zbytek panuje wszędzie. A stosować się do tego trzeba koniecznie, bo inaczej nie podobna mieć stosunków, znaczenia, wpływu...

Opowiedział bratu, jaki sposób życia prowadzi, na jaką skalę dom utrzymuje, jakie meble ma w swoim salonie, a jakie w gabinecie; ile przeżywa rocznie; jakie stosunki posiada w tej stolicy, w tamtej, w trzeciej; do jakich klubów i teatrów uczęszcza najchętniej; ile czasu poświęca na pracę, a ile na zabawę. Kiedy wreszcie skończył, Zenon zapytał:

— A córka twoja?

— Córka? Kostunia? Prawda, zapomniałem dotąd mówić ci o niej. Ma już rok osiemnasty i chmarę konkurentów. Dziewczyna ładna, miła, utalentowana...

— Jakże się cieszę tem, co o niej mówisz! — z oczyma rozbłysłymi od radości zawołał Zenon i zaczął rozpytywać się z zajęciem niezmiernem o nieznaną synowicę.

Wiktor, jak zwykle, nie szczędził szczegółów, a kiedy przedmiot zdawał się wyczerpanym, Zenon z kolei mówić zaczął:

— Co do mnie, niepokoję się trochę z powodu starszego chłopca mego...

— A prawda! Wszakże masz starszego syna! — przypomniał sobie Wiktor. — Gdzież on jest?

— Odjechał w swoim czasie do miasta, do szkół... Chłopak zdolny i z sercem do brem, ale... rozwijać się w nim zaczęła od niedawna niezmierna skłonność do elegancyi, komfortu, wszelkiego rodzaju popisywania się z swoją osobą...

— A cóż ci to szkodzi? — ze zdziwieniem zapytał Wiktor.

— Jakto? Lękam się, aby próżność i zamilowanie w zbytku nie uczyniły z niego człowieka małego, którego celem jedynym...

— Ależ śmieję się z tego, mój drogi! — wesoło zawołał Wiktor — przeciwnie, będą mu one pomagały do stawania się coraz większym. Jeżeli chłopiec jest elegancki, tem lepiej, bo »jak cię widzą, tak cię piszą«. Każdy z większem uszanowaniem obejdzie się z cienkim surdudem, niż z grubą kapotą, chociażby pod surdudem była koszula podarta, a pod kapotą cała, ale zgrzebna. To jedno. A drugie: jeżeli chłopak czuje potrzebę odznaczania się i popisywania, to będzie z całej siły pchał się coraz wyżej, a na świecie mój drogi, ten tylko może stanąć wysoko, kto umie dobrze robić łokciami. Skromność i pokora na nic się w życiu nie przydają i, chcąc nabyć u ludzi ceny, trzeba samego siebie cenić wysoko. Nie masz wcale, mój Zeńku, powodu do niepokojenia się losem syna. Z tego, co mówisz mi o nim, jeżeli zwłaszcza nie brak mu zdolności umysłowych, widzę, że chłopak ma przed sobą przyszłość...

— Lękam się, aby nie chciał jej kupować za cenę sumienia — chmurnie dokończył Zenon.

To są egzageracye<sup>19</sup>. Dlaczego zaraz za cenę sumienia? Przecież ludzi okradać, ani miast podpalać nie będzie, a z elegancyą, ambicyą i trochę próżności dalej zajdzie i zdobędzie sobie więcej, niż gdyby był safandulą i chodził po świecie cichym kroczykiem, ze spuszczonej nosą. Zresztą masz troje dzieci. Jedno ci się nie uda, drugie się uda, a zawsze dobrze będzie. Szczęśliwy z ciebie człowiek, mój Zeńku, i, jak Boga kocham, tak cieszę się tem, że aż mi płakać chce się z radości!

Tu objął i po kilkakroć uściśnął brata, z oczyma naprawdę wilgotnymi od rozrzewnienia. Zaraz też zaczął mówić, że nie ma z córką kłopotu najmniejszego. — Najprzód jest jedynaczką, a następnie ma taką ciotkę, siostrę matki, która przepada za dziewczyną; od śmierci nieboszczki trzyma ją prawie ciągle u siebie, stroi, pieści i pewno wkrótce za mąż wyda. Ta ciotka jest wielką jego dobrodziejką, bo gdyby nie ona, miałby po owdowieniu kłopot ogromny z panną dorastającą. Odbывая często podróże obowiązkowe i prawie nigdy nie przesiadując w domu, trudno bardzo zajmować się edukacją panny, a potem w świat ją wprowadzać. Ale to wszystko wzięła na siebie ciotka, on zaś tylko dostarcza pieniędzy na wydatki córki, czasem odwiedza ją u ciotki, a niekiedy, w czasie swobodnym od pilnych zajęć, bierze ją do siebie na parę tygodni lub miesięcy.

<sup>19</sup>egzageracja — przesada. [przypis autorski]

Opowiadał o tem wszystkim ze zwykłą werwą, ale co chwila rzucał spojrzenia na drogi ogrodowe, prowadzące ku domowi. Znać było, że już rad byłby odejść, dla poszukania kompanii nieco liczniejszej. Zenon to spostrzegł, wstał i zaproponował powrót do domu.

W drodze spotkali Kazia, który, rozbiegany i zasapany, wpadł jak kula pod nogi ojcu i stryjowi, zaledwie mogąc wymówić, że „Mama prosi na obiad”. Wiktor ujął go pod ramiona, podniósł wysoko w górę, pocałował głośno i, postawiwszy na ziemię, rzekł:

— Ogromnie silny jestem. Takiego dziewięcioletniego dzieciaka mogę, jak piórko, na dach zarzucić! Pracowałem w życiu bardzo wiele, ale praca nigdy mi nie szkodziła, owszem, podtrzymywała we mnie energię i zdrowie. Zmartwienia i kłopoty wszelkie, które zdarzały się nieraz, jak u każdego, traktowałem zawsze przez nogę. Zajądą mi drogę, to wezmę je za bary i obalę, albo, jeżeli obalić nie mogę, na stronę uskoczę, i dalej przed siebie; zawsze tylko praktycznie i energicznie, bez medytacji, desperacji, melancholii i innych tam takich rzeczy, które zdrowiu szkodzą, a niczemu wcale nie pomagają! I ty, Zeńku, robisz tak samo? Prawda? Inaczej nie można. Gryząc się byle czem, medytując nad każdą rzeczą, odmawiając sobie przyjemności życia, można wcześniej wtrącić się do mogiły, albo co najmniej stać się niedołągą, ciężkim dla siebie i dla innych. No, czyż nie prawda?

— Święta prawda — z przekonaniem potwierdził Zenon i po chwili dodał: — Szkoła tylko, że usposobienia takie albo inne nie zależą od woli człowieka, lecz od natury jego temperamentu i umysłu, a po części też od okoliczności.

— Jakto, nie zależą! — oburzył się Wiktor. — Wszystko zależy od woli człowieka. Kto ma rozum i wolę, temu na świecie musi być dobrze. Masz przykład na samym sobie. Gdybyś był wówczas, przed osiemnastu laty, nie zdobył się na zerwanie z tym swoim zdradzieckim ideałem z Monachium i na osiedlenie się w Zapolance, nie byłoby ci tak dobrze, jak jest teraz! Prawda?

Zenon popatrzył na brata przez kilka sekund... W dalekiej głębi jego oczu zapalił się płomyk ironiczny; nic jednak nie odpowiedział i wszedł z bratem do jadalni, gdzie u nakrytego stołu czekały już na nich kobiety i dzieci. Wiktor natychmiast wsunął się pomiędzy Sabinę i Rozalię, tak manewrując, aby przy stole zająć miejsce pomiędzy nimi. Było przytem trochę żartów i śmiechu, bo panie chciały niby siedzieć obok siebie, on zaś usiłował je rozłączyć i, dokonawszy tego, rozpościerając serwetę na piersi, mrugnął oczyma ku bratu.

— A co, Zeńku! Widzisz, co znaczy wola!

Sympatya, którą odrazu powziął był dla Rozalii, zdawała się wciąż wzrastać, ale najmniej zajmował się i Sabiną. Nadskakiwał jej co chwila, mówił komplementy, dotyczące porządków domowych, dzieci, nawet jej dzisiejszej toalety. Zenon, prawie nie biorąc udziału w rozmowie, pomyślał:

— Gdyby nie była tak przekwitła i mało zajmująca, bałamuciłby ją z pewnością, tak jak Rozalię.

Ale po chwili spostrzegł ze zdziwieniem, że Sabina nie poczytywała sobie za tak przekwitłą i mało zajmującą, za jaką on ją miał, i jaką była rzeczywiście. Usłużność i grzeczność szwagra wprawiały ją w zachwycenie: błękitne oczy, jeszcze dość piękne, nabrały życia i blasku; parę razy uśmiechnęła się do sąsiada prawie zalotnie. Kurczątko próbowało podlatywać i w połowie obiadu cieniutkim swym głosikiem zaczęło mówić o swoim dawnem zamiłowaniu do muzyki, tańców i strojów.

— Ależ bratowej i teraz także wszystko to się należy! — zawołał Wiktor. — Państwo nie bawicie się tu nigdy! Czy być może? Ależ to dla pań obu jest krzywdą wielką! Trzeba koniecznie, Zeńku, abyś postarał się dom ożywić i postawić go na stopie towarzyskiej... Przecież tu muszą być jakieś sąsiedztwa. Dlaczegoż nie udzielacie się im, nie zbieracie ich u siebie?

Kobiety milczały, Zenon odpowiedział:

— Po pierwsze, sąsiedztwa są tu nieliczne i niezajmujące. A powtóre, gdybyśmy zaczęli udzielać się i u siebie zbierać kompanie, Zapolanka uleciałaby z wiatrem, jak puszek.

Powiedział to tonem szorstkim, jakim prawie nigdy nie przemawiał, i zaraz tego pożałował, ale niepotrzebnie, bo Wiktor nie miał widocznie skłonności do spostrzeżeń drobiazgowych.



— Co? — zawołał — Zapolanka uleciałaby z wiatrem! Ależ to być nie może! Kto jest w tak świetnych interesach, jak ty, mój drogi...

— Nie zapytywałeś mnie o stan interesów moich, więc i nie wiesz...

— Jak to nie wiem! Przecież znam Zapolankę i widzę, że na taki sposób życia, jaki prowadzicie, jest ona aż nadto wystarczającą...

— Nie mówiłem, że jest niewystarczającą, — odpowiedział Zenon — ale na inny, trochę zbyt kowniejszy, nie wystarczyłaby z pewnością...

— Ale wystarczyłaby, mój Zeńku, upewniam cię, że wystarczyłaby doskonale! Czasem przyjęcie jakiegoś wieczorek, albo jeszcze wojażyk mały... do wielkiego miasta, za granicę... Cóż to znaczy? Alboż to znowu tak wiele kosztuje?

— Więcej, niż mógłbym wydać, bez pokrzywdzenia ziemi i ludzi... bo mam małe długi...

— Co tam długi! Jeżeli i są, to spłacą się kiedyś, prędzej lub później spłacą się z pewnością...

— Same przez się? bez przyczynienia się mego? — zażartował Zenon.

Wiktor bez najmniejszego zakłopotania odpowiedział:

— Zapolanka je spłaci; a tymczasem mógłbyś sobie i swoim paniom więcej niż dotąd uprzyjemniać życie...

— Byłoby to grzechem przeciw praktyczności, cnotcie, którą cenisz najwyżej...

— To prawda, że praktyczność cenię bardzo wysoko; ale nie jest też praktycznym prowadzić życie mnisze, bo można stetryczeć i zdziczeć...

— Wierz mi, Wiktorze, że nikt nie może stetryczeć i zdziczeć z sercem wesołym; jednak, z dwojga złego, wolę być zdziczałym tetrykiem, aniżeli puszczać z wiatrem ziemię, honor, przyszłość dzieci...

— Pchuu! jakie wielkie słowa, — zaśmiał się Wiktor — co to ma jedno do drugiego? Czyż ziemia i honor wymagają ofiar?

— Wymagają — stanowczo rzekł Zenon.

— Nie rozumiem tego i jestem pewny, że te rzeczy dałyby się pogodzić, byleby postępować z nimi...

— Praktycznie i energicznie...

— A tak, i bez egzaltacji<sup>20</sup> w kierunku żadnym, bez egzaltacji i egzageracji. Ale ty zawsze byłeś egzaltowanym...

— Już ostygłem i ostudzam się ciągle — dokończył Zenon.

Byli obaj rozdrażnieni — Zenon więcej, Wiktor mniej; ale czuć było w powietrzu starcie się powściągane dwu natur zupełnie niepodobnych. Rozalia z wielkim taktem nadała rozmowie kierunek inny, prosząc Wiktora o wytłumaczenie jej jakichś szczegółów architektonicznych<sup>21</sup>, które, w opisach spotykane, często bywały dla niej niezrozumiałymi! Jego puściło to odrazu na prąd, z którym mógł płynąć bez końca. Pomiędzy przedmiotami, łączącemi się z jego zawodem, była także i architektura. Wzniósł był nawet na swoją rękę i z zyskiem pieniężnym znacznym parę gmachów publicznych. Tłumaczył więc, opowiadał, trochę wyrzekał na trudy, poniesione przy tych przedsięwzięciach i budowach, trochę chlubił się doskonałością dzieł dokonanych i korzyściami, które mu przyniosły. Był znowu rozpromieniony, ugrzeczniiony, tryumfujący.

Zenon słuchał wszystkiego w milczeniu i nie bez zajęcia, ale przez głowę przemknęła mu myśl:

— Pełen siebie i — swego!

Po chwili pomyślał jeszcze:

— Tak pełen siebie i swego, że nic więcej zmieścić się w nim nie może.

Jednak po obiedzie, niezadowolony z siebie i szczerze żałujący, że posprzeczał się z bratem, zbliżył się do niego, usiłując rozmawiać o wszystkim, co tylko Wiktora obchodzić mogło. On też, jeżeli nawet doświadczył był przez chwilę jakiego niemiłego uczucia, od dawna już o tem zapomniał, a propozycja Sabiny udania się po rydze do pobliskiego lasku ucieszyła go ogromnie. Zenon osłupiał ze zdziwienia. Zona jego tworzyła zamiar przechadzki i wypowiadała go z nieśmiałością i rumieńcem panienki szesnastoletniej! Już

<sup>20</sup>egzaltacja — przesada. [przypis autorski]

<sup>21</sup>szczeólów architektonicznych — odnoszących się do budownictwa. [przypis autorski]

nawet nie pamiętał, odkąd Sabina nietylko samoistnie na przechadzki się nie zdobywała, ale nie dawała się na nie wyciągnąć żadną namową i prośbą. Wiecznie brakowało jej czasu, albo czuła się zmęczona dreptaniem około gospodarstwa. Ale teraz i z gospodarstwem potrafiła się załatwić, i z uciechą dziecinną pobiegła swoim drobnym kroczkiem po koszyki do śpizarni. Wiktor w ręce klasnął.

— Grzybobranie, rodzaj sportu! Lubię wszelkiego rodzaju sporty!

Zwrócił się do Rozalii.

— Będziemy razem szukali rydźów, dobrze? Niech pani mnie, biednego, niedoświadczonego w tym kierunku człowieka pod swoje skrzydło opiekuńcze weźmie!

— O nie, — broniła się żartobliwie Rozalia — kto tak, jak pan, umie być samodzielnym we wszystkim, powinien też samodzielnie i rydźów szukać!

Ulitowała się jednak i zaczęła go nauczać, jak, gdzie, dokoła jakich drzewek i krzaków, w jakich mchach i trawach najczęściej rosną rydze. Sabina weszła z koszykami; za nią wbiegły uszczęśliwione dzieci. Wszystko było gotowe; tylko Zenon wymówił się od wzięcia udziału w zabawie pilnemi gospodarskimi zajęciami.

Nie było to zmyśleniem: istotnie dowiedzieć się potrzebował, czy młockarnia, zrana trochę zepsuta, dobrze już funkcjonuje; co dzieje się z orką; czy Pawełek jest jeszcze w polu i dlaczego na obiad nie przyszedł, bo zły wygląd chłopca, zrana spostrzeżony, trochę go niepokoił. Mógłby jednak wszystko to odłożyć na później, gdyby mniemał, że udział jego w przechadzce przyda się na cokolwiek jemu i gościowi, ale wiedział z góry, że Wiktor będzie nieustannie trzymał się towarzystwa kobiet, a on spędzi parę godzin na bezużytecznym bląkaniu się po lesie, bo do zbierania rydźów nie miał pasy najmniejszej. Było im zresztą zupełnie wesoło i dobrze bez niego; odeszli gwarząc, a on przedewszystkiem udał się do stodoły.

Jak bywa najczęściej w gospodarstwie, zamiast dwóch lub trzech szczegółów do załatwienia, znalazł ich Zenon kilkanaście, i zaledwie po upływie kilku godzin wrócił do domu, trochę zgryziony młockarnią, która zepsuła się na dobre, i niespokojny o Pawełka, który wydał mu się bardziej jeszcze mizerny i blady, niż zrana. Dotknął dłonią głowy chłopca i uczył, że była gorąca. O wszelkich możliwych urazach zapomniał do szczętu, trwożył się tylko o to, aby chłopak nie rozchorował się na dobre, tem więcej, że obiadu jeść nie chciał, i że we wsi niedalekiej panowały jakieś gorączki zaraźliwe. Jutro wypadnie zapewne posyłać naraz po lekarza dla Pawełka, po weterynarza dla konia okaleczonego i po mechanika do młockarni.

W domu nie było jeszcze nikogo, Filipek tylko wnosił do jadalni samowar, buchający parą, i Kasia, pokojowa, ustawiała na stole koszyki i talerze z przygotowanymi zawczasu przez Sabinę dodatkami do herbaty. Zenon wyszedł na ganek ogrodowy i zamierzał udać się w stronę lasu z rydźami, gdy usłyszał za jednym z klombów rozmawiające głosy Wiktora i Rozalii. Towarzystwo powracało z przechadzki; ta para wyprzedziła Sabinę z dziećmi i krętymi ścieżkami okrążyła klomby z drzew i krzewów. Do stojącego na ganku Zenona dochodziły urywki rozmowy, dość głośno zresztą prowadzonej. Wiktor prosił Rozalię o fotografię; ona wymawiała się tem, że jej nie posiada, ale gdy nalegał, przyrzekła dać mu tę, która się znajdowała w albumie Sabiny. W głosie jej czuć było wzruszenie, maskowane lekkim śmiechem. Po chwili wysunęli się z za grupy krzewów. Zenon widział, jak Wiktor, ująwszy obie ręce towarzyski, długo przyciskał je do ust, poczem, zamiast iść ku domowi, skierowali się na ścieżkę dalszą i w zmroku zapadającym zniknęli za krzewami. W Zenonie coś zawrzało. Kilka naraz uczuć podniosło się w nim falą goryczy i gniewu. Naprzód pomyślał:

— Zawróci jej głowę na dobre i już na wieki humor zakwasi. Cóż? starą jeszcze nie jest i musi wiedzieć, że jest jeszcze piękną. Gotowa uwierzyć w jego androny, rozkochać się, a potem przyjdzie mi chyba z domu uciekać od jej kwasów i fochów.

Potem przyszła mu na pamięć fotografia kobiety z oczyma dobremi i mądrymi, z uśmiechem rozkosznym, z czołem szlachetnym pod gęstwiną włosów, upiętych z prostotą i smakiem. Wszakże to narzeczona Wiktora, kobieta, którą ma wkrótce poślubić, która mu ufa, w tej chwili może myśli o nim z tęsknotą i upewnieniem, że jest kochaną głęboko i wiernie! Tymczasem głębokość i wierność tego uczucia są takie, że nie mogą oprzeć się powabom pierwszej lepszej starej panny, trochę jeszcze pięknej i roztropnej! On, Zenon, od bardzo dawna nie miał i nie mógł mieć dla żony innych uczuć prócz

szacunku i przyzwyczajenia, ale nie pozwalał sobie nigdy na cień jakiegokolwiek kompensaty<sup>22</sup> w tym kierunku. Ile go to kosztowało, on jeden tylko wiedział; ale była w nim prawość i litość, które nie pozwalały oszukiwać, ani zadawać cierpień. To też teraz oba te uczucia były w nim obrażone. Żał go zdejmował nad tą nieznaną, już zapomnianą, już zdradzoną, a dla niego idealną, jeżeli tylko dusza jej była podobną do swej powłoki. I człowiek, który miał wkrótce osiągnąć to czarujące stworzenie i w wieku już dość spóźnionym przeżyć pełnię szczęścia młodzieńczego, upędzał się jeszcze za tą okruczną uciechy, za tą przyjemnością chwilową, osiągniętą kosztem zdrady względem tamtej, zamięnienia pokoju tej!

Był zbyt przyzwyczajony do wglądania w samego siebie i do roztrząsania sumienia swego, aby nie spostrzedz, że w uczuciach gorzkich i gniewnych, których doświadczał, obok zasad obrażonych, obok współczucia dla kobiety zdradzanej i tej, która była wprowadzaną w złudzenie, istniało trochę, może nawet dużo zazdrości. To, czego mu najwięcej może brakowało, tamten miał posiadać w pełni upojeń, wiosennych i długich, a jeszcze nie był syty! Czemuż dla jednych czara życia wylewa przez brzegi uroki i uciechy, a dla innych z drobną kropelką słodczy miesza garncę goryczy i cikliwości?

Wiedział dobrze, że te uczucia i myśli były złemi, ale je miał. Chciał odpędzić je od siebie, ale nie mógł. Twarz kobieca, widziana na fotografii, piękna, dobra, rozumna, jak zaklęta stała mu przed oczyma, a spodem mózgu wiła się myśl, przesywająca jak wyostrzony drucik: „Jemu i tego mało!” Zarazem czuł dla siebie pogardę. Pogardzał sobą, że zazdrościł bratu, jednak zazdrościł, tem tylko uniewinniając się trochę przed sobą, że Wiktor i Rozalia byli w ogrodzie wtedy jeszcze, gdy Sabina, śpiesznie wbiegłszy do domu, zakrzętała się około herbaty, i wtedy, gdy herbata już naciągnęła i byłaby nawet zagotowała się na samowarze, gdyby nie zapobiegawcza troskliwość o nią gospodyni.

Siedział przy stole oświetlonym lampą i myślał: „Jakimże będzie później los tej kobiety, jeżeli teraz jest już takim!”

W młodości był popędliwym; potem przewycięzał w sobie tę wadę siłą przekonania i woli, aż wyleczył się z niej prawie zupełnie. Teraz pod wpływem złej namiętności, która wślizgała mu się w serce, dawna ułomność charakteru wychodziła z kryjówki, w którą ją był zapędził. Kiedy nakoniec Wiktor i Rozalia weszli do salki jadalnej i usiedli przy stole, oboje z oczyma niezwykle błyszczącymi i trochę przymuszonymi uśmiechami na ustach, Zenon zwrócił się do brata z zapytaniem:

— Czy termin twego ślubu z panną Amelią jest już stale wyznaczony?

Słowa te były prawdziwem *coup de théâtre*<sup>23</sup>, które przecież trwało jedną minutę. Wiktor zmieszał się ogromnie; po wyrazistej twarzy Rozalii przebiegło drganie nerwowe; Sabina upuściła na spodek łyżeczkę i tak się złękła, że oczy jej biegać zaczęły. Ale w niespełną minutę Rozalia pierwsza, uprzejmym ruchem zwracając się do Wiktora, ze spokojnym uśmiechem przemówiła:

— Pan masz narzeczoną?

— Tak — z wolna i z wahaniem w głosie odpowiedział Wiktor — to stara historia, której zakończenie niewiadomo jeszcze kiedy nastąpi.

Ale po raz pierwszy, odkąd przybył do Zapolanki, na czole jego powstała zmarszczka; spojrzaniem prawie ostrem błysnął ku bratu i na całe pół godziny stał się bardzo mało-mównym i zachmurzonym. Wtedy jednak Rozalia zaczęła mówić z wielką swobodą o dzisiejszym rydzobranii, lesie i pięknym dzisiejszym wieczorze, a Zenon, czując się głęboko unieszczęśliwionym widokiem zmarszczki na czole brata, usiłował zagadywać o rzeczach, które mogły być dla niego najwięcej przyjemnymi i zajmującymi. To też Wiktor po upływie pewnego czasu rozchmurzył się i wziął udział w rozmowie, ale do uprzedniej swobody i werwy już nie powrócił. Nie wydawał się rozgniewanym, ale był zmieszany i nieswój. Po skończonej herbacie wziął brata pod rękę i pociągnął go do ogrodu.

Na ganku już mówić zaczął:

— Mój Zeńku, po coś ty wyjechał przed paniami z tym moim blizkim ślubem? Wprowadziłeś mnie w taki ambaras, że języka w gębie zapomniałem. Trzeba wypadku! Jak raz, tylko co powiedziałem Rozalii w ogrodzie, że dopókim jej nie poznał, serce moje

<sup>22</sup>*kompensata* — wynagrodzenie. [przypis autorski]

<sup>23</sup>*coup de théâtre* — hasło teatralne. [przypis autorski]

było wolne, jak ptak, i że ona dopiero pozbawiła je tej wolności. A tu traf! W pięć minut po takim powiedzeniu i odpowiednim ucałowaniu rącek ty wyjeżdżasz z terminem mego ślubu! No!

Mówił to ze szczególnem połączeniem zgryzoty i śmiechu. Zenonowi także śmiać się zachciało, tak go zabawił ten sposób obchodzenia się z przedmiotem, do którego on przywiązywał wagę wielką. Ale wkrótce spoważniał.

— Mój Wiktorze, — zaczął, — nie potrafię nawet wypowiedzieć, jak mię to boli, że wyrządziłem ci przykrość, i jak serdecznie za to cię przepraszam. Ale, doprawdy, czyż podobna tak bez ceremonii obchodzić się z sercami innych? Przecież twoja narzeczona kocha cię i ufa miłości twojej.

— Bo też ją i kocham! — zawołał Wiktor — co to ma jedno do drugiego! Tam miłość, tu zabawa. Jakaż szkodę sprawić może Amelii to, że ja o dwieście mil od niej spędzę z inną kilka chwil przyjemnych?

Zenon, sam nie wiedząc, czy mu się więcej chce śmiać, czy gniewać, odpowiedział:

— Tybys gotów był nie tylko o dwieście mil, lecz i o dwa kroki od niej spędzać takie przyjemne chwile z inną. Ależ i ta inna może uwierzyć i pokochać!...

— A cóżby się jej stało złego? — zadziwił się Wiktor — kilka miłych godzin przerwałyby jej smutny stan staropanieński, pomarzyłyby trochę, a potem miałyby aż do śmierci wspomnienie o czemś świeższem od nieboszczyka narzeczonego. Wziąłeś ze strony tragicznej rzecz najpospolitszą w świecie, i jeżeli jest to grzeszek, to niesłychanie powszedni i maluteczki, poprostu schwycenie w lot przyjemnostki, która przelatowała przed nosem i której nie pochwyciłby chyba głupiec.

Zenon w sposób echowy powtórzył:

— Głupiec!

A potem dodał:

— Czyż doprawdy ci, którzy nie uprzyjemniają sobie życia kosztem wszelkim, są głupcami?

Wiktor nie odpowiedział. Szli pod ramię drogą dość szeroką, przerywaną ogród w całość jego długości. Srebrny sierp, otoczony gwiazdami, świecił na niebie, napelniając powietrze przyćmionem światłem księżyca na nowiu. Po dość długim milczeniu Zenon ozwał się pierwszy:

— Często zastanawiałem się nad tem, kto rzeczywiście ma słusność, a kto się myli: ludzie światowi i weseli, usiłujący zwolnić się, o ile podobna, od kołców życia i wyzyskiwać kosztem wszelkim jego strony rozkoszne; czy też ci, którzy biorą na plecy brzemię obowiązku, strzegą tego tylko, żeby nie uronić najmniejszej jego cząstki, i, zapatrzeni w gwiazdę daleką, jak ślepcy, omijają kwiaty, a włączają w cierniste zarośla? Który z tych dwóch gatunków ludzi jest naprawdę głupim, a który mądrym?

— Zdaje mi się, — odpowiedział Wiktor — że w tem, jak we wszystkim, najlepszy jest rozsądny środek. Pracować trzeba, bo bez pracy człowiek musi stać się lachmanem, poniewieranym i nieużytecznym. Uczciwość i rzetelność w stosunkach pieniężnych to rzecz honoru, którego pozbywszy się, człowiek się przerabia — za pozwoleniem twojem — na świnię. Cenię nawet do pewnego stopnia i dobroczynność, bo cierpienie ludzkie, kiedy je widzę, obudza we mnie litość, i byłbym ostatnim egoistą, gdybym nie umniejszał go jakim okrucieństwem, który ostatecznie nic prawie nie znaczy dla mnie, a dla cierpiącego może w danym razie być wsparciem i ulgą. Ale na tem koniec, i oprócz tego nie wiem doprawdy, czegooby człowiek rozsądny mógł od siebie wymagać.

W tej chwili usiedli na ławce, stojącej u brzegu drogi w mglistem świetle księżycowem. Zenon z żywością mówić zaczął:

— Czyż na tem koniec? Czyż doprawdy, w ramach, zbitych z trzech deseczek: pracy, honoru i łatwej dobroczynności, mieści się rozwiązanie tej zagadki, którą jest przeznaczenie człowieka na ziemi? Dla mnie ta zagadka jest otchłanią. Od początku świata pochylają się nad nią najszlachetniejsze głowy ludzkie i nie mogą dna jej osiągnąć wzrokiem. Musiałeś także zastanawiać się nieraz nad pytaniem: za co i dla jakiego celu człowiek skazany jest na cierpienie i śmierć? Nieuchronność cierpienia i śmierci byłaby przerażającym figłem jakiejś mocy piekielnie okrutnej, gdyby nie posiadała celu, niepojętego dla naszych biednych umysłów ludzkich! Bo biedne zmysły nasze nic o nim powiedzieć nie mogą. Ale cel istnieje niezawodnie. Natura, która nie znosi próżni fizycznej, czyżby znosiła taki

bezsens moralny, jak bezużyteczne dręczenie niezliczonych miliardów istot? Przyszedłem do przekonania, że poza świadomością zmysłów naszych tworzy się w przestrzeni i czasie dzieło jakieś olbrzymie i doskonałe, dla którego potrzebnymi są jakieś istnienia, cierpienia, umierania, a także, i może nadewszystko, nasza doskonałość. Ale ta doskonałość nie mieści się tylko w pracy, w honorze i w rzucaniu ubogim okruchów z naszego stołu, nam samym niepotrzebnych. Słusznie czy mylnie, upatruję ją w oczyszczeniu życia z najdrobniejszych chociażby krzywd ludzkich, miłości dla ziemi i ludzi, posuniętej do ofiar, sprawiających cierpienia chociażby najcięższe. Nie wiem, czy jasno się wyrażam. Nie przywykłem mówić wogóle, a szczególnie o rzeczach takich. Ale co do mnie przynajmniej, usiłowaniem moim najsilniej naprężonym jest to, aby mieć serce jaknajczystsze i oddawać usługi jaknajwiększe ziemi i ludziom. Zdaje mi się, że tym tylko sposobem osiągam cel, dla którego przyszedłem na świat. Ale są to wyniki rozmyślań bardzo samotnych, może więc błędne. Co ty, Wiktorze, myślisz o tem wszystkim?

Mówiąc, patrzył w przestrzeń, mieniając się cieniami drzew i mglistem światłem księżyca na nowiu. Przy ostatnich słowach dopiero obrócił twarz ku bratu i z trudnością powstrzymał się od śmiechu. Powieki Wiktora były przymknięte; dopiero na dźwięk jego imienia podniosły się i zadrgały niespokojnie, jak przestraszone ptaki. W czasie długiego przemawiania brata zaczęła go była ogarniać drzemka nieprzewycięzona, którą jednak przewyciężał z całej siły, chwytając nie bez trudności niektóre słowa i okresy. Teraz przetarł dłonią oczy i na to, co udało mu się usłyszeć, odpowiedział:

— Mój Zeńku, wszystko to, o czem mówiłeś, należy do księży. Niech oni tam sobie dochodzą różnych gatunków grzechów ludzkich i odgadują, co człowieka spotkać może na tamtym świecie! To teologia<sup>24</sup>. Ja w Pana Boga wierzę i codzień pacierz mówię, bo tak mię nauczyła matka, i weszło to już w krew i przyzwyczajenie. Ale nad rzeczami niezrozumiałymi głowy sobie nie suszę; nie mam do tego ani czasu, ani ochoty. Co zaś do śmierci, to, mój kochany, jest ona rzeczą tak nieprzyjemną, że najlepiej wcale o niej nie myśleć. Gdy przyjdzie, to cóż robić? Ale dopóki nie przychodzi, nie wywołujemy z lasu brzydkiego wilka. Taką jest moja filozofia. Na dynamice<sup>25</sup>, hydraulice<sup>26</sup>, statyce<sup>27</sup> znam się dobrze, ale na nieśmiertelności duszy nic a nic. I znać się też nie potrzeba. Co Pan Bóg zechce, to i zrobi z moją duszą po śmierci, a dopóki żyję — *vive la vie!*<sup>28</sup> Ale teraz chodźmy już do domu, bo zaczyna być zimno, i może już spać pora... jak myślisz?

Niespełna w godzinę potem w całym domu było już ciemno i wszyscy spali, albo przynajmniej pokładli się do snu. Zenon sam jeden chodził po długim pasie drogi, przerywającej ogród. Ilekroć znajdował się u tego jej końca, który dotykał pól szerokich, okrytych światłem drzemiacem, stawał i patrzył na srebrny rożek księżyca, wyglądający z za sosen na wzgórze. Myślał wtedy:

— Czyżbym się mylił? Czyżbym zmarnował życie? O, źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wiedzy, jakimi naprawdę są twoje prawa i rozkazy? Takimi, jakie uczyniły brata mego dzielnym i szczęśliwym, czy takimi, jakie pełniąc, stałem się przedwcześnie zestarzałym i bardzo... ty jeden wiesz, jak bardzo — smutnym?

Ilekroć znowu zbliżał się do przeciwnego końca drogi ogrodowej, do tego, który dotykał domu, wznosił oczy ku oknu brata, gdzie było zgaszone od dawna już światło, i zapytywał w myśli:

— Który z nas głupi, a który mądry: on, czy ja?

### III

Zenon Hornicz ze stacyi kolei, na którą odwiózł brata, udał się do miasteczka poblizkiego, skąd miał wziąć mechanika do naprawienia zepsutej młockarni. Zabawił tam dość długo, bo musiał widzieć się z weterynarzem, pomówić z kupcem, któremu sprzedawał zboże, i załatwić trochę drobnych potrzeb domowych i gospodarskich. Dlatego zaledwie około wieczora wróciwszy do Zapolanki, wysiadł z bryczki przed stodołą i po upływie pewnego czasu szedł ku domowi z głową spuszczoną i czołem zmarszczonem. Dziedzinec był o tej

<sup>24</sup>teologia — nauka o Bogu. [przypis autorski]

<sup>25</sup>dynamika — nauka o prawach ruchu i siłach poruszających. [przypis autorski]

<sup>26</sup>hydraulika — o zastosowaniu ruchu wody i praw siły ciśnienia. [przypis autorski]

<sup>27</sup>statyka — o równowadze ciał. [przypis autorski]

<sup>28</sup>vive la vie! — Niech żyje życie. [przypis autorski]

porze pusty, w domu panowało milczenie; głosy dziecinne odzywały się daleko, około huśtawki, urządzonej w głębi ogrodu.

Czy podobna, aby to, czego oczekiwał z gorączką w sercu i w głowie, czego oczekiwanie przez całą jedną noc usnąć mu nie dało, już przeminęło i należało do przeszłości?

Że przeminęło, to pewne i naturalne, ale — czy było? Czy naprawdę brat jego był tutaj i dwie doby z nim przepędził? Gdzież tam! Przyjeżdżał tu i dwie doby w domu jego przepędził ktoś mądry, świetny, wesoły, miły, ale nie brat jego, owszem, człowiek jakiś zupełnie obcy, wcale do niego niepodobny, i z którym nie łączyło go nic, nawet wspomnienia, bo pochłonięty terażniejszością ruchliwą i szczęśliwą, tamten nie potrzebował wspomnień.

Było — i nie było. To samo, czego się pragnęło i oczekiwało, a jednak zupełnie co innego. Raz jeszcze Zenon Hornicz doświadczył uczucia głębokiego niepodobieństwa, jakie zachodzi pomiędzy rojeniem a rzeczywistością, pomiędzy formą rzeczy, tą samą co dawniej, a istotą jej, zmienioną do gruntu. Tak jak dawniej, on i Wiktor byli i teraz synami jednych rodziców i nosili jedno nazwisko; ale gdzie, w czym, jakie pomiędzy nimi zachodziło jeszcze braterstwo?

Pożegnali się nie tak serdecznie, jak się powitali. Przy ostatniem uściśnieniu dłoni ich rozłączały się z trudnością, bo mieli obaj, chociaż w stopniu bardzo nierównym, instynkt braterstwa. Ale u ludzi ucywilizowanych instynkt nie jest już panem jedynym, a wszystko, co oprócz niego w nich istniało, odtrąciło się wzajemnie i bez słów przekonało o bezużyteczności stosunków dalszych.

— Kiedyż zobaczymy się znowu? — zapytał Wiktor i zaraz dodał: — zawsze trudno rozporządzać czasem.

— Tak, — odpowiedział Zenon — najpewniej znowu zobaczymy się nieprędko...

I w myśli dodał:

— Bo i po cóż?

Słowa te zamienili z żalem instynktownym, ale z przekonaniem, że inaczej być nie może, bo — po cóż?

Kiedy lokomotywa gwizdnęła, i pociąg zaczął oddalać się od stacyi, Zenon doświadczył przesywającego uczucia straty poniesionej: utracił brata! Zwolna sunący naprzód szereg wagonów wydawał mu się konduktem<sup>29</sup> pogrzebowym. Bywają pogrzeby rozmaite, a nie najmniej bolesnymi są te, w czasie których człowiek odśpiewuje *requiem*<sup>30</sup> sam jeden i tylko w najgłębszej tajemnicy serca. Teraz widok dziedzińca i domu odnowił w nim wspomnienia marzeń, poprzedzających przyjazd Wiktora, i tego, co potem nastąpiło.

W myśli powtarzał przysłowie, którem już nieraz w wypadkach podobnych karcił swoją nieukróconą wyobraźnię:

— Ach, stary wróblu, dałeś się znowu złapać na plewy!

Lecz zaraz potem myślał, że nie były to wcale plewy. Owszem, tacy ludzie, jak Wiktor, byli zapewne ziarnem ludzkości zdrowem i jędrnym, a tacy jak on — plewami, które należałoby zsypywać do domu waryatów, tego magazynu dusz obłąkanych ideami, nie mającemi w świecie żadnego zgoła obiegu.

Przed wejściem do domu zawahał się, stanął. Czuł, że mu chmura posępna przysłoniła oblicze, wiedział, że, spotkawszy się z kimkolwiek, musiałby je rozpoznać. Ani powiedzieć, ani okazać tego, co czuł, nie miał przed kim. Wolał pozostać samotnym i muskuły twarzy swojej pozostawić w spokoju.

Usiadł na ganku. Niebawem usłyszał przez okno, w pobliżu otwarte, rozmawiające głosy Sabiny i Rozalii. Właściwie Sabina raz tylko się ozwała krótko i tak zcicha, że słów jej nie dosłyszał.

Rozalia zaś odpowiedziała głośno, tonem oschłym i nauczycielskim, który zwiastował, że wraz z odjazdem gościa skończyły się na jej niebie piękne dni Aranjuezu<sup>31</sup>, a zgromadzać się zaczęły znowu ciężkie chmury. W sposób taki, jakby siostra była dziewczynką malarzką i pod każdym względem władzy jej podległą, mówiła:

<sup>29</sup>kondukt — orszak, pochód żałobny. [przypis autorski]

<sup>30</sup>requiem — śpiew podczas mszy żałobnej. [przypis autorski]

<sup>31</sup>Aranjuez — pałac królów hiszpańskich; tu: chwile wesołości, pobytu w miejscu wesołym. [przypis autorski]

— Zawsze egzagerujesz<sup>32</sup>, Sabinko, i wpadasz sama w ostateczności. Całe życie przepadałaś za mężem i ulegałaś mu, jak niewolnica: a teraz raptem przyszło ci do głowy lamentować nad swoim smutnym losem. Spodziewam się, że z takim panem Wiktoorem byłby on daleko weselszy, bo twój mąż, moja droga, jest marzycielem, bardzo szlachetnym, ale i bardzo niepraktycznym. Tacy ludzie nie uprzyjemniają życia ani sobie, ani innym. Ale po siedemnastu latach zamężcia nie czas już zachwycać się tak nadzwyczajnie przymiotami jego brata...

Zenon nie chciał słuchać dalej, zerwał się z ławki i szybko przebiegłszy dziedziniec, wyszedł za bramę. Masz tobie! Nawet Sabina lamentowała nad swoim smutnym losem i zachwycała się nadzwyczajnie przymiotami Wiktora! Obudziło to w nim gniew, blizki oburzenia.

Niechby spróbowała być żoną, a choćby tylko narzeczoną Wiktora! Stanowczo i zupełnie wyraźnie powiedział sobie, że nawzajem on czuje się z nią, pomimo jej łagodności i cnót domowych, całkiem nieszczęśliwym, ale w tem także jest tylko jego własna wina. Wyidealizował ją sobie przed ślubem, tak, jak brata przed jego przyjazdem. Należał zawsze do liczby tych, którzy lepią sobie ludzi na obraz i podobieństwo swoje, a gdy glina rozsypuje się pod wpływem czasu, spostrzegają, że inne dźwigała kształty, niż mniemali. Zdarzyło mu się to w życiu po wielekroć, zdarzyło się i z żoną. Teraz dowiedział się, że ona także jest rozczarowana i niezadowolona. Zwierzała się z tem przed siostrą: on nie uczynił tego nigdy przed nikim. Chciał wprawdzie zwierzyć się przed bratem, ale okazało się, że — nie ma brata.

Ogarnęły go i ogarniały po brzegi dwie ciemności, największe w świecie: samotność bezbrzeżna i zwątpienie o sobie całkowite. Szedł z głową spuszczoną, z plecami więcej niż kiedykolwiek przygarbionymi. Myślał o tem, że zmarnował życie. Gdyby był nie porzucił kariery artystycznej dla Zapolanki, byłby dziś może sławnym, uwielbianym i, tak jak Wiktor, wesołym i dzielnym. Że nie posiadał wielkiego talentu do malarstwa, tego był pewny, bo gdyby go posiadał, mógłby i tutaj tworzyć i być artystą... Jednak, czy to tylko za pomocą wielkich talentów ludzie torują sobie drogę w świecie? On ze swoim niewielkim utorowałby ją sobie także, gdyby, według słów Wiktora, umiał być dobrze robić łokciami i od pierwszego wstępu na szerszą widownięć życia nałożył na siebie cenę wysoką. Ale on miał zawsze skłonność do wątpienia o wartości swojej i wszystkiego, co w nim było; nie obrachowywał, nie spekulował...

Tu obejrzał się, usłyszawszy za sobą szybkie kroki. Był to Pawełek, który doganiał go już od kilku minut, a teraz stał przed nim bardzo zmieszany, ale z wyrazem silnego postanowienia na twarzy, pobladłej i mizernej.

— Bardzo przepraszam, — zaczął — że zatrzymuję pana tak na drodze, ale nie mogę już dłużej wytrzymać, i niech mi pan pozwoli kilka minut pomówić z sobą.

— Ale i owszem, — odparł Zenon — tylko dlaczego ty tak wyglądasz, jakbyś dziś powstał z obłożnej choroby?

Na widok cierpienia, wyrytego na twarzy wychowańca, zapomniał o swoich ponurych myślach i ciężkich uczuciach; Pawełek też popędliwie przerwał:

— Bo, proszę pana, trzy dni już męczę się tak, że ani jeść ani spać nie mogę i czasem chciałbym zapaść się pod ziemię ze wstydu i żalu!

Łzy nabiegły do jego ciemnych, bystrych oczu, i zarazem odmalował się w nich gniew prawie wściekły.

— Gdybym mógł, proszę pana, tobym samego siebie bił, tłukł, kąsał, *do turmy*<sup>33</sup> zapakował...

— Ależ, na miłość Boską, czegoż ty się tak dręczysz! — zawołał Zenon z uśmiechem, niepodobnym do powstrzymania, bo rozpaczliwe gesty chłopca, pokazującego, jakby to on siebie bił, tłukł, kąsał, miały w sobie żywość naiwną i komiczną. Ale Pawełek, nagle zdobywając się na spokój, rzekł głosem stanowczym:

— Bo ja, proszę pana, z panem Górkiewiczem nie pojedę!

— Nie pojedziesz! Dlaczego? Przecież nie namawiałem cię, abys został.

<sup>32</sup>egzagerujesz — przesadzasz. [przypis autorski]

<sup>33</sup>turma — więzienie. [przypis autorski]

Pawełek wahał się, czy namyślał przez chwilę, potem odpowiedział z powagą u niego niezwykłą:

— Pan mię nie namawiał, ale dobroć pana mię namówiła.

— Jakto? wytłumacz to, co mówisz!

— Co tu tłumaczyć? Postąpiłem, proszę pana, jak ostatni nikczemnik. Pan mię z nędy wydobył, hodował, lubił, uczył, człowiekiem zrobił: a ja, nietylko że chciałem pana porzucić i postąpić zupełnie inaczej, niż mi pan przez całe życie doradzał, ale jeszcze tałem się przed panem z projektami swemi, jak przed wrogiem. Myślałem, że pan mię znienawidził i pogardza mną jak psem... bo i byłem gorzej niż psem... A tu przy obiedzie, kiedy panna Rozalia tak skompromitowała mię przed wszystkimi i przed bratem pańskim i chciała mię kasać, tak jak to ona czasem umie, pan ujął się za mną i mrugnął, śmiejąc się do mnie, jak do przyjaciela... A potem znów przy każdym spotkaniu ciągle tylko dobrze i dobrze, jakby nic nie zaszło, i tylko: co ci jest, Pawełku? czegoś ty taki mizerny? Myślałem, proszę pana, że zginę ze zgryzoty sumienia i żalu. Nie mogłem pomówić z panem, dopóki pan miał gościa. Ale teraz, zobaczywszy, że pan sam jeden idzie w pole, nie wytrzymałem już i pobiegłem... Mój panie drogi, mój złoty, mój najukochańszy, dobroczyńco mój najlepszy, daruj mi, zapomnij o mojem głupstwie, niech ja przy tobie zostanę... a potem, kiedyś, może osiadę na swoim kawałeczku ziemi i dzieci swoje uczyć będę tego, czego pan mię uczył, i aby modliły się za pana...

Ostatnie słowa mówił głosem przerywanym, całując ręce Zenona, przypadając mu nawet do kolan, żywy jak iskra, rozrzewniony jak dziecko, skruszony jak grzesznik, który powziął nienawiść do grzechu swego.

Zenon objął go obu ramiony, po kilkakroć ucałował w czoło, trochę śmiał się, choć oczy miał wilgotne. Nietrudno mu było uspokoić chłopca, który niczego nie chciał, tylko jego przebaczenia, przyjaźni i pozostania nadal w Zapolance. Potem odprawił go do domu, a sam poszedł dalej swoją drogą ulubioną, ku wzgórzu, poroślemu sosnami. Idąc, czuł, że ma nogi trochę lżejsze, plecy trochę mniej przygarbione, i że owe ciemności, zalegające jego mózg i serce, trochę się rozwidniły. Niebawem znalazł się na stoku wzgórza, pośród sosen rzadkich, wyrastających z pokładów mchów siwych, żółknących i jeszcze jak szmaragd zielonych. Usiadł na mchu, spojrzął dokoła, a potem zapatrzył się na krajobraz.

Dokoła rosły klombami, gajami paprocie brunatne i cieliste, trzmieliny z liśćmi różowymi, jak centifolie<sup>34</sup>, jałowce krwistordzawe. Pośród sosen stały brzozy, całe w złocie, a głębiny lasu oddalone, zachodząc cieniem, świeciły jeszcze gdzieś smugą słoneczną, kołyszącą na fali ruchomej purpurę zwiedłych borówek i jeżyn. Z dwu stron drogi polnej, wijącej się u stóp wzgórza, sterczały łodygi roślin bez kwiatów, często i bez liści, ale obwieszone nasionami różnych kształtów i wielkości. A pola zorane, albo zasłane ścierniskiem żółtem, okryte zmarszczkami zagonów, falowały po wypukłościach gruntu, hen, precz, aż pod skraje niebios, usianych obłokami, nabrzmiałymi ogniem różnobarwnym.

Zorza wieczorna stała na zachodzie, jak ściana krwawa, ze szczytem rozplywającym się w złocistość. Jej blaski rumiane i złotawe kładły się na polach i szły powietrzem nad polami, nad laskami, rozrzuconymi po wzgórzach, nad dworem zapoląńskim, który wyglądał jak obrazek sielski, wymalowany na tle złoto-różowem. Naprzeciw, w stronie wschodu, wieś chłopska, długa, szara, stała we mgle liliowej, rzucając w górę kilka wstęg dymu.

Był w tym obrazie spokój wieczoru i smutek jesieni; była też piękność rzadka rzeczy prostych, a wspaniałych.

Zenon patrzył na ziemię, na niebo, i powoli, powoli zmysły i dusza jego zatapiać się w nich zaczęły tak, że utracił całkowicie uczucie samotności. Nie był sam jeden, bo dokoła siebie posiadał to, co kochał. Owszem, im dłużej patrzył, tem silniej i wyraźniej stawać się z nim zaczynał ten sam proces, który przed laty osiemnastu związał go na zawsze z tym kawałkiem świata. Zdawało mu się, że nim oddycha, że wzajemnie jest przez niego wchłanianym i że stanowi cząstkę jego, ściśle spojeną z innemi. Uczuł, że nie było na świecie takiej siły pociągu, któraby zdołała go ztąd oderwać; że cokolwiekby znosił i czegokolwiek pragnął, tu, a nie gdzieindziej tkwić musi, jak w zdroju kropla wody,

<sup>34</sup>centifolia — gatunek róż. [przypis autorski]



lub w smudze słonecznej drobina światła. Pomyślał, że był niezawodnie dla tego kawałka świata kroplą wody i drobiną światła, a woda użyźnia i światło roztrąca ciemności.

Niedaleko miejsca, na którym siedział, znajdowała się kępina mchów suchych, pomieszanych z igłami, opadłemi z sosen, ze splotami gałązek, upstrzonych resztką kwiatów i liści. Pochylił ku niej głowę tak nisko, że skroń jego spoczęła na liliowym atlasie spóźnionego wrzosu. Wtedy do ucha jego dochodzić zaczęły dziwne szmery i szelesty, jakby chód robaczków we mchu i wrzosie, jakby fruwanie skrzydeł drobnych pod zeschniętymi liśćmi, jakby jeszcze toczenie się powolne lub wartkie strumyków wązkich, jak nitki cieniuchnych, a niezliczonych. Strumyki te były sokami ziemi, płynącymi pod jej skorupą i rozbiegającymi się na wsze strony: pod pola, pod lasy, pod dwór zapolański, rysując się na tle zorzy wieczornej, pod wioskę, stojącą szarym pasem u liliowego wschodu.

Zenon Hornicz słuchał tych szmerów uchem uważnym i chciwym, a niebawem począł rozpoznawać mowę ziemi, którą rozumiał, albowiem żył z tą ziemią od dawna w związku miłości wielkiej. Były w tej mowie rzeczy różne: skargi, dziękczynienia, płacze ciche, śpiewy przewlekłe, podobne do tych, które piastunki nucą nad kolebkami dzieci chorych. Były w tej mowie ziemi, oprócz szepotów i szmerów, tętna pulsu potężnego, idące z głębin najodleglejszych, a bardziej u powierzchni coraz więcej, coraz więcej uderzeń drobnych, niby serc, które żyły, pracowały, mówiły także, opowiadały...

Upłynęło chwil wiele, a Zenon Hornicz wciąż słuchał, słuchał głosów, gwarów, pulsów, ziemi, i nabierał ich w serce, tak, jak pustynia, spieczona skwarem południa, nabiera wieczornej rosy.

Kiedy nakoniec oderwał ucho od kępy mchu i wrzosu, wstał i wyprostował się, zobaczył nad zapolańskim domem wschodzący sierp księżyc. Jeden dopiero rożek srebrny ukazywał się z nad dachu, lecz rzucał na twarz wpatzonego weń człowieka promienność prawie słoneczną. Plecy jego teraz nie były zgarbione, ani czoło zmarszczone. Postawę miał rzeźwą i w oczach, wzniesionych ku górze, myśl dziękczynną.

Modlił się.

— O, źródło życia wszelkiego i jedyny zbiorniku wszelkiej wiedzy! Nie wątpię już o potęgę swojej, bo czuję, że silnie kocham, i nie żałuję niczego, chociaż jestem bardzo smutny. Owszem, we wszechstworzeniu Twojem wielbię smutek i ze czcią przyjmuję go na ramiona, bo jest on mistrzem, który naucza ludzi, jakimi są Twoje prawa i rozkazy!

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/orzeszkowa-bracia>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Bracia, nakład Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1909.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0604-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.